

SIEDLISKO

Dziedzictwo kulturowe i tożsamość społeczności na Ziemiach Zachodnich i Północnych



Rok 2009 zapowiada się w Polsce pod znakiem nagromadzenia obchodów rocznicowych, związanych z dwoma datami o niezaprzeczalnie historycznym znaczeniu, a mianowicie niemieckiej agresji (1939 r.) oraz upadku systemu komunistycznego (1989 r.). Obydwie daty mają wymiar narodowy i zarazem uniwersalny. Pierwsza z nich przypomina nie tylko o niemieckiej napaści i polskiej klęsce militarnej, ale również o nakazie stawienia czynnego oporu każdemu agresorowi, każdemu totalitaryzmowi i każdej próbie zdominowania kontynentu europejskiego. Druga przywołuje pamięć o długiej polskiej drodze do wolności i niepodległości, a jednocześnie o zapoczątkowanym w Polsce procesie rozpadu obozu socjalistycznego. W obu wypadkach Polska uruchomiła bieg doniosłych wydarzeń, ale nie można zapominać, że wrzesień 1939 r. mógł się zakończyć masową eksterminacją narodu polskiego, gdyby nie powstała wielka koalicja antyhitlerowska, a czerwcowe wybory 1989 r. mogły doprowadzić do groźnej izolacji międzynarodowej Polski, gdyby nie przemiany jakie nastąpiły w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, na Litwie, na Łotwie, w Estonii, w Związku Sowieckim, i również w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Można powiedzieć, że inne narody mają chyba Polsce coś do zawdzięczenia, ale uczciwość nakazuje od razu dodać, że i my zaciągnęliśmy wobec nich wielki dług wdzięczności.

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| Janusz Jasiński | |
| O dawnej i współczesnej tradycji napoleońskiej na Warmii i Mazurach | 3 |
| Marceli Tureczek | |
| O Cesarzu Francuzów w Międzyrzeczu – dawniej i dziś | 8 |
| Hieronim Kroczyński | |
| Groby z czasów napoleońskich w Kołobrzegu | 13 |
| Aleksandra Paradowska | |
| Pałac rodziny Finkensteinów w Kamieńcu Suskim | 16 |
| Izabela Lewandowska | |
| Trakt biskupi na Warmię | 22 |
| Anitta Maksymowicz | |
| W ojczyźnie przodków | 29 |
| Andrzej Sakson | |
| Upamiętnianie I wojny światowej na Warmii i Mazurach | 34 |
| Zbigniew Mazur | |
| O niemieckich upamiętnieniach przesiedleń | 39 |
| Marcin Tujdowski | |
| Przeszłość jak „Bumerang” | 47 |

Na Ziemiach Zachodnich i Północnych rok 1989 r. powinien się kojarzyć tak samo optymistycznie jak w innych regionach kraju, ostatecznie symbolizuje zwycięstwo i nowy, aczkolwiek wcale niełatwy początek. Społeczności tu zamieszkałe mają prawo być dumne z fali antykomunistycznego oporu w latach osiemdziesiątych (i wcześniej), jaka przeszła od Elbląga i Gdańska przez Szczecin do Wrocławia. Tego znakomitego wkładu w zmianę krajobrazu politycznego Polski i Europy, nikt im nie odbierze. Zwłaszcza tym anonimowym masom ludzkim, dzisiaj niestety spychanym w cień, które w rzeczywistości były prawdziwym, zbiorowym bohaterem wydarzeń sprzed wielu laty. Mieszkańcy Ziemi Zachodnich i Północnych mają jeszcze jeden bardzo specyficzny powód do satysfakcji, związany z niezwykle intensywnym społecznym przyswojeniem wielokulturowego dziedzictwa tych terenów, w tym również rozległego dziedzictwa niemieckiego. Proces ten zaczął się naturalnie znacznie wcześniej, ale nie ulega wątpliwości, że dopiero w latach dziewięćdziesiątych nabrał rozmachu. Można oczywiście wskazać na pewne dziwactwa, śmieszności, polityczne wykrzywienia i deformacje, jakie temu towarzyszyły i nadal towarzyszą, ale w procesach masowych podobnych zjawisk się nie uniknie i nie powinny one przesłaniać obrazu całości, bardzo interesującego i na swój sposób oryginalnego w skali europejskiej.

Rok 1939 stanowił tragiczną datę dla całej ludności polskiej, która przybyła na Ziemiach Zachodnie i Północne z pamięcią o niemieckim okupowaniu ziem wcielonych do Trzeciej Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa, o pacyfikacjach, łapanekach i barbarzyńskim zniszczeniu Warszawy, również o prześladowaniach sowieckich i mordach na Kresach Wschodnich. Przede wszystkim jednak ludność ta przybyła z pełną świadomością tego, że gdyby nie wojna wywołana przez Niemcy, to pozostałaby w swoich małych ojczyznach i nigdy nie zaistniałaby na terenach nasyconych niemiecką obecnością kulturową, która skądinąd miała rozmaite oblicza, zarówno godne podziwu, jak i zasługujące na potępienie. Na Ziemiach Zachodnich i Północnych rok 1939 widziany przez pryzmat historii lokalnej z natury rzeczy musi się przedstawiać zupełnie inaczej niż na obszarze reszty kraju. Nie ma jednak żadnego powodu, żeby z historii tej wymazywać ciemne strony, zwłaszcza okres panowania reżimu nazistowskiego, z agresją przeciwko Polsce i wojną światową w ogóle. Niemieckie społeczności miały w tym wszystkim swój udział i w imię prawdy historycznej nie można o tym zapominać tak samo, jak nie należy zapominać o niemieckich twórcach wspaniałych budowli, kościołów i pałaców. To dobrze, że niemieccy przesiedleńcy pamiętają o swoim dziedzictwie kulturowym na obecnych ziemiach polskich, ale byłoby równie dobrze, gdyby nie zapominali, dlaczego fizycznie musieli się z nim rozstać. Rocznica agresji roku 1939 stwarza okazję do poważnego zastanowienia się nad pamięcią zbiorową zarówno polską, jak i niemiecką.

Z.M.



PL ISSN 1898-6692

Redakcja: Zbigniew Mazur, Marcin Tujdowski (e-mail: tujdowski@iz.poznan.pl)

Oprac. graficzne: Ewa Wąsowska

Wydawca: INSTYTUT ZACHODNI Adres: Instytut Zachodni, Instytut Naukowo - Badawczy

im. Zygmunta Wojciechowskiego, ul. Mostowa 27, 61-854 Poznań,

tel.: 0 61 852 76 91, fax: 0 61 852 49 05,

Na okładce: kolaż, pomnik Napolena z Cherbourga, fot. Ian Edelman (zdjęcie wykorzystano za zgodą autora), w tle plan bitwy pod Frydlandem w Prusach Wschodnich, 1807 r, reprodukcja za: www.napoleon-series.org, na zasadzie ograniczonej licencji.

O dawnej i współczesnej tradycji napoleońskiej na Warmii i Mazurach

Tradycję napoleońską dzielimy zazwyczaj na białą, czyli piękną oraz czarną, złą. Pierwsza zawiera się niezwykle sugestywnie w słowach Mazurka Dąbrowskiego „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy”, czy w Mickiewiczowskim wspomnieniu: „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jedną taką wiosną miałem w życiu”. Drugą symbolizują walki Polaków na San Domingo i w Hiszpanii.

Kampanie wschodniopruskie miały charakter pod względem politycznym złożony. Elity polskie wierzyły, że wspomagając Napoleona wywalczą dla odradzającej się Polski nie tylko Warmię, ale również „Prusy Elektorckie”, natomiast zwykli mieszkańcy Prus Wschodnich pamiętali głównie o uciążliwościach wojny, zarazem jednak byli świadomi, że krainy te uczestniczyły w wielkiej historii europejskiej, personifikowanej przez cesarza Francuzów.

Pruska „polityka historyczna” – by posłużyć się aktualnym terminem – określała wydarzenia lat 1806-1807 „wojną nieszczęśliwą”, a lata 1813-1815 „wojnami wyzwoleniczymi”.

Już po zakończeniu kongresu wiedeńskiego na kościelnych tablicach zaczęto upamiętniać poległych, którzy z danej parafii „zginęli za pruską ojczyznę”. Nie zapomniano także o rosyjskich sojusznikach. Jeszcze w 1906 r. istniał w Gładyszach (majątek Dohnów) grób z prawosławnym krzyżem. W drugiej połowie XIX w. dopisywano na tablicach kościelnych nazwiska poległych za czasów Bismarcka i corocznie organizowano uroczystości związane ze zwycięstwem pod Sedanem. W ten sposób brano rewanż za „wojnę nieszczęśliwą”; podobnie pół wieku później Tannenberg miał zmyć upokorzenie Grunwaldu.

Przed zbliżającą się 50. rocznicą kampanii wschodniopruskich (1857), pomyślano o uczczeniu bohaterów pruskich, którzy wyróżnili się w bitwie pod Pruską łąką, tym bardziej iż batalię uznano za triumf oręża pruskiego. Uhonorowano zatem specjalnym pomni-

kiem (wg projektu architekta berlińskiego Stüllera) generała pruskiego L' Estocq. Po zniszczeniu obelisku w czasie II wojny światowej został w ostatnich latach zrekonstruowany przez Rosjan, którzy na cokole dodali napis (niekoniecznie ścisły), że armia rosyjska „zatrzymała marsz wojsk Napoleona ku granicom Rosji”. Również w połowie lat pięćdziesiątych XIX w. ufundowano pomnik dla uczczenia generała rosyjskiego von Anrepa, który zginął 25 stycznia 1807 r. w bitwie pod Morągiem, gdzie wojskiem francuskim dowodził marszałek Bernardotte. Pomnik na początku XX w. był odnawiany; w 1945 r. żołnierze sowieccy puścili po nim serię z automatu, widocznie nie dostrzegając, że na metalowej tablicy znajdują się napisy w języku rosyjskim i niemieckim. Można przypuszczać, że jednak rosyjski element pomnika uratował go od całkowitej zagłady. Zrekonstruowała go, choć nie całkowicie, młodzież ze szkół morąskich w 2003 r.

Niezależnie od decyzji rządowych władze wschodniopruskie ogłosiły w połowie XIX w. zalecenie, aby utrwalac ślady walk o znaczeniu lokalnym. Na przykład ks. Henryk Renkel, proboszcz w Ełdych Wielkich, odpisał w 1859 r., że miejscowy szaniec nad Pasłęką usypany przez marszałka Soulta, niestety został już zaorany. Natomiast uchwalił się do dnia dzisiejszego szaniec rosyjski w Jonkowie, wzniesiony przez generała Bennigsen na początku lutego 1807 r. Zaznaczany był on na każdej mapie niemieckiej do 1939 r. Także na mapach zostały utrwalone „góry napoleońskie”, jedna koło Ignalina pod Lidzbarkiem, druga koło Warszkajt w pobliżu miejsca bitwy w Pruskiej łące (po stronie obecnie polskiej).

Najlepiej pamiętana legenda wiąże się z „dębem Napoleona” w Barkwedzie koło Olsztyna. Otóż 3 lutego 1807 r. toczył się tu zacięty bój o przeprawę przez Łynę. Wojskami francuskimi dowodził marszałek Soult. Tymczasem legenda uparcie widziała tu cesarza, który miał nawet w dziupli rozłożystego dębu zjeść obiad ze swoimi generałami. Legendę zanotował



Tablica z przebiegiem szlaku napoleońskiego, Pupki.
Fot. M. Tujdowski, 2008.

także słynny polski krajoznawca Mieczysław Orłowicz w 1923 r., dotrwała ona do czasów współczesnych. Mieszkańcy są bardzo rozczarowani, gdy się im mówi, że w tym dniu Napoleon znajdował się z drugiej strony Olsztyna i nie zawsze dowierzają historykom. Również do dzisiejszych czasów utrzymała się nazwa „kirchhowek” nadana niewielkiej niecce, w której zostali pogrzebani żołnierze rosyjscy, zabici w Barkwedzie. Istniały jeszcze dwa „napoleońskie dęby”, jeden koło Morąga, tam cesarz miał dokonać przeglądu Wielkiej Armii na początku czerwca 1807 r. i drugi w Borowym Młynie, powiat nidzicki, chociaż w tamtych stronach cesarza w ogóle nie było. Koło Górowa Iławeckiego rośnie „napoleońska sosna”, a za Wygodą, pow. olsztyński jest miejsce, wg księdza Barczewskiego, zwane Obiadem, ponieważ Napoleon „pod wielką choiną [...] obiadować miał”. Nie ma również żadnego potwierdzenia inna opowieść, mianowicie że „napoleońskie schody” koło Kłębowa związane są z cesarzem, ponieważ w 1807 r. podążał tędy do Lidzbarka. Kolejnym wymysłem jest jego pobyt w Uzdowie, powiat działdowski, jak również opowieść o „napoleońskiej ławeczce” koło Górowa Iławeckiego. Otóż cesarz wracając z Pruskiej Iławy miał odpoczywać na niej i ... podziwiać panoramę miasta. Po pierwsze – ławeczka miała być, według legendy, usytuowana przy drodze od Lidzbarka a nie od Pruskiej Iławy, a po drugie – czy w ogóle w 1807 r. istniała jakaś przydrożna ławeczka? Zbudowano ją przypuszczalnie w 1907 r., a obecnie odbudowano.

Bardzo mocno pamięć napoleońską utrwały słynne kalendarze Marcina Gerssa z ostatniej ćwierci XIX w., rozchodzące się w nakładzie 10-11 tysięcy egzemplarzy, dzięki czemu, biorąc pod uwagę, że jeden egzemplarz „rocznej książki” czytało około 10 osób, historie napoleońskie mogła poznać trzecia część mazurskiej populacji. Gerss pisał z pozycji historiografii pruskiej, gloryfikował wojsko i generałów pruskich, ale jednocześnie nie poniżał Napoleona i Wielkiej Armii. Częściowo krytycznie odnosił się do rosyjskich sojuszników. Np. o bitwie pod Frydlandem relacjonował: „Bennigsen zrejterował do Freylądu. Ale tam zwyciężył go Napoleon z kretesem dnia 14 czerwca 1807 roku, choć Rosjanie mocno wojowali. Napoleon był jednak cięższym wojakiem niż Bennigsen”. Książka Gerssa została wznowiona w 1997 r.

Cesarz zanocował z 2/3 lutego 1807 r. w Pasymiu na plebani u miejscowego pastora, gdzie został powitany przez delegację miasteczka. Kilkadziesiąt lat później pani Lange, żona radcy sprawiedliwości, wspominała, że małej dziewczynce, która wręczyła kwiaty, ukazały się łzy w oczach. Wówczas wzruszony Napoleon pogłaskał ją delikatnie po twarzyczce. Cesarz zajął kwaterę na I piętrze. Budynek nie uległ przeróbce, dzięki czemu stanowi autentyczny zabytek na szlaku napoleońskim. W 2007 r. doczekał się pamiątkowej tablicy.

Napoleon, jadąc z Pasymia, rankiem 3 lutego 1807 r. dotarł do Olsztyna. Chcąc ocenić siły nieprzyjaciel-

Banner okolicznościowy z okazji imprezy plenerowej poświęconej Napoleonowi, Jonkowo.
Fot. M. Tujdowski, 2008.



skie generała Bennigsena, czym prędkiej popędził do pobliskiego Gutkowa i z wieży kościelnej przy pomocy lunety zlustrował rozłożenie wojsk rosyjskich wokół Jonkowa. Pamięć o pobycie cesarza na wieży kościelnej dotrwała do czasów współczesnych i obok „dębu Napoleona” w Barkwedzie, stanowi najbardziej znany składnik legendy napoleońskiej w okolicach Olsztyna. Barwną opowieść o niej zanotował w okresie międzywojennym etnograf warmiński Augustyn Steffen: „W roku 1807 była wielka bitwa na polu gutkowskim. Ruski bili się z Francuzami przez trzy dni [!]. Przyjechał tam i Napoleon. Wlazł na dzwonicę i przyglądał się bitwie. Dzwonnica była drewniana, więc Napoleon kazał w niej wywiercić dziurę, aby mógł dobrze i bezpiecznie widzieć cały teren. Dziur tych dotąd nikt nie załatał i dziś jeszcze można je oglądać. Pole, na którym rozgrywała się bitwa, było pokryte trupami. Wszystkie zwłoki pochowano w tych samych miejscach, w których je znaleziono. Miejsce wa ludność uważa cały ten teren za cmentarz. Nigdy tam nie orano i nie bronowano. Obecnie rośnie tam karłowaty las”. Jak często bywa, do elementów prawdy dodawano liczne wątki będące wytworem ludowej wyobraźni.

Z Gutkowem związana jest także inna, prawdziwa opowieść. Na pagórku przy drodze do Łupstycha, z 3/4 lutego rozbito biwak cesarza. Po latach, może w 50. rocznicę, wkopano tam pamiątkowy kamień z odpowiednim napisem na drewnianej tablicy. Całość otoczono trawnikiem. Około roku 1875 ktoś oderwał tablicę. Być może akt ten należy łączyć

z odradzającymi się nastrojami antyfrancuskimi po wojnie 1870/71. W 1896 r. właściciel pola zabrał kamień do stodoły.

Tradycja warmińska przekazała też relację o Jonkowie. Napoleon, ścigając Bennigsena, 4 lutego 1807 r. wstąpił na probostwo, aby spożyć obiad. Tuż przed jego przybyciem żołnierze francuscy okradli i poturbowali gospodynię księdza. Gdy cesarz zapytał, co się tu dzieje, gospodyni zaczęła urągać i przeklinać francuskich rozbójników. Poinformowana, że stoi przed nią cesarz, w wielkim przerażeniu zaczęła błagać o litość. Napoleon wykazał się wielkodusznością. Wręczył jej pisemną obietnicę, że otrzyma wysokie odszkodowanie i powiedział: „Musisz wiedzieć, że są osoby, które naprawiają błędy innych”. Ostatecznie poszkodowana nic nie otrzymała, ponieważ zagubiła rewers Napoleona.

W niemieckim muzeum Pruskiej Ławy prezentowano stół z marmurowym blatem, przy którym siedział cesarz w czasie odwiedzin rannych żołnierzy. Pamiątka ta po latach trafiła do Olsztyna, czeka na gruntowne odnowienie. Jest to jeden z cenniejszych zabytków z roku 1807.

W Ostródzie Napoleon przebywał 40 dni (21 II – 31 III 1807). O utrwalenie wśród miejscowej społeczności tego pobytu zatroszczył się przed 100 laty historyk ostródzki Emil Schnippel. Z Paryża sprowadził kopię obrazu Mikołaja Ponte-Camusa zatytułowanego „Napoleon użycza łask mieszkańcom Ostródy. Marzec 1807”. Kopię umieszczono w ratuszu. Po zaginięciu obrazu po 1945 r., przed kilku laty Ostróda wystarała



Odnowiony obelisk upamiętniający miejsce śmierci generała Reinholda von Anrepa, okolica Morağa.
Fot. M. Tujdowski, 2008.



Tablica na obelisku. Fot. M. Tujdowski, 2008.

się o nową kopię; poza tym miejscowe muzeum gromadzi coraz liczniejsze pamiątki napoleońskie. Umieszczona na murach zamku dwujęzyczna tablica informuje turystów o kilkutygodniowej kwaterze cesarza. Wydana została o Napoleonie niewielka, ale rzeczowa publikacja. Nawiązano też żywe kontakty z różnymi środowiskami francuskimi, głównie wojskowymi. Tu nicią łączącą jest przede wszystkim tradycja braterstwa broni sprzed 200 laty. Ale z okolicami Ostródy związana jest też czarna legenda. Chłopi mazurscy ze wsi Pietrzwałd utopili kilkunastu maruderów francuskich, od tego czasu miejscowe jezioro nazwano Jeziolem Francuskim.

Przed kilkudziesięciu laty różne podania mazurskie, w tym i napoleońskie, zebrał nauczyciel z Wejsun (pow. piski) Eugeniusz Bielawski. M.in. zanotował, że przez Puszcę Piską do jeziora Śniardwy prowadziła droga, zwana „napoleońską”, bo jakoby zbudowały ją wojska francuskie. Istniała też „dolina francuska” pomiędzy Wejsunami a Kańczewem. W 1812 r., w czasie odwrotu spod Moskwy, zatrzymał się tu oddziałek francuski i rozbił biwak. Rano znaleziono kilkunastu żołnierzy zamarzniętych i zaraz w tym miejscu ich pogrzebano. I ostatni zapis Bielawskiego. Opowiadał mu wiekowy gospodarz mazurski, Jeromin, że jego dziadek Gotlieb Jeromin, na pamiątkę pobytu Francuzów w tej okolicy wykuł z kamienia głowę przykrytą czapką taką, „jaką nosili żołnierze francuscy z czasów Napoleona”.

Legenda o ukochanej Napoleona, pani Walewskiej, znana była nie tylko w Warszawie i centralnych ziemiach polskich, ale także na Warmii. Zanotował ją Warmiak, Paweł Sowa:

„Już po klęsce Napoleona pod Waterloo i osadzeniu go na Wyspie Świętej Heleny, na zamek w Kamieńcu raz jeszcze przybyła pani Walewska. Właściciele zamku pozostawili wnętrza apartamentów, w których zamieszkiwał cesarz, w takim stanie, w jakim je opuścił, zachowując je jako swego rodzaju muzeum. M.in. w sypialni Napoleona zachowało się obszerne łóże, otoczone ciężką kotarą. I oto pewnej ciemnej nocy na zamek w Kamieńcu przybyła karetka. Wysiadła z niej ciemno ubrana kobieta, a twarz osłaniał ciężki, czarny welon. Niewiasta udała się wprost do ponapoleońskiej sypialni, uklękła przy łóżu i długo żarliwie się modliła. Po jej odejściu stwierdzono, że w kotarze otaczającej łóżnicę brak jest skrawka materiału. Wywnioskowa-

Tablica upamiętniająca
pobyt gen. Jana Henryka
Dąbrowskiego, Morąg.
Fot. M. Tujdowski, 2008.



Ponapoleońskie armaty
przed ratuszem
w Morągu.
Fot. M. Tujdowski, 2008



no stąd, że owym tajemniczym gościem musiała być pani Walewska, która chciała sobie przypomnieć chwile szczęścia spędzone przy boku Napoleona i na pamiątkę uwiozła z sobą wycinek kotary. Tak głosi piękna legenda. Czy odpowiada ona prawdzie, nie wiadomo. Kto chce, niech wierzy”.

Historykom spoza Warmii i Mazur niejednokrotnie wydaje się, że tradycje epoki napoleońskiej w naszym regionie zaczęły się rodzić dopiero w ostatnich latach, a nie wcześniej, ponieważ miała zostać całkowicie zerwana nić dziedzictwa pomiędzy populacją, która opuściła te tereny po 1945 r., a nowym polskim osadnictwem. Otóż pogląd ten grzeszy dużym uproszczeniem.

Jeszcze w okresie międzywojennym Warmiacy i Mazurzy przekazywali tradycje napoleońskie nie

tylko ustnie, ale również w formie przekazów drukowanych. Na polskiej Warmii należeli do nich m.in. etnograf Augustyn Steffen, proboszcz brąszewski Walenty Barczewski, poetka Maria Zientarówna. Po roku 1945 powtarzali oni swoje opowieści przybyszom z Kresów Wschodnich, z Mazowsza, Pomorza, którzy legendę napoleońską bardzo szybko uznali za swoją. Działała w tym duchu Emilia Sukertowa-Biedrawina, kierowniczką Instytutu Mazurskiego. Niezależnie od zapisanych opowieści, dzięki nowym etnografom, nowym instytucjom, a zwłaszcza rozgłośni olsztyńskiej, przystąpiono do zbierania dalszych relacji napoleońskich. Poważnym impulsem w tym kierunku był numer napoleoński miesięcznika „Warmia i Mazury” z 1962 r. Niebawem też zaczęły się ukazywać w wydawnictwie „Pojezie-

rze" monografie powiatowe w nakładzie 5-7 tysięcy egzemplarzy. Prawie w każdej z nich uwzględniano w szerszym lub węższym zakresie lata 1807-1815. Od 190. rocznicy kampanii wschodniopruskiej, czyli od 1997 r., w akcję popularyzacji miejscowych tradycji napoleońskich włączyła się lokalna prasa. Chyba nie ma światlejszego mieszkańca w regionie, który by nie potrafił łączyć wieży w Gutkowie lub dębu w Barkwedzie z cesarzem Francuzów. Wyrazem tych zainteresowań są tablice pamiątkowe na szlaku napoleońskim, coraz częstsze publikacje, inscenizacje batalistyczne w historycznych uniformach, czy poszukiwania w ziemi napoleońskich pozostałości amunicji, uprząży konnej lub guzików od mundurów. W Barkwedzie znaleziono prochownicę z napisem „Paris”, a w Lidzbarku dwugłowego blaszanego orła rosyjskiego.

Myślę, że zainteresowania tego nie powinno się zmarnować. Czy nie należałoby utworzyć napoleońskiego szlaku turystycznego, tym bardziej że znamy każdy dzień Napoleona w naszym województwie, niemal każdą miejscowość, przez którą przejeżdżał, w której się zatrzymał. Początek został zrobiony, posiadamy już około 10 obelisków i tablic pamiątkowych, wszystkie dwujęzyczne polsko-francuskie. A jeszcze, gdy mieszkańcy dowiedzą się, że „bóg wojny” cenił Kopernika i szukał jego śladów na Warmii, powodzenie tej inicjatywy będzie niemal murowane. Już obecnie przyjeżdżające grupy francuskie wyrażają zdziwienie, że posiadając tyle napoleońskich zabytków, ruchomych i nieruchomych, tak słabo je eksponujemy. Chodzi o promocję regionu nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Jest to ważne zadanie dla samorządów województwa warmińsko-mazurskiego.

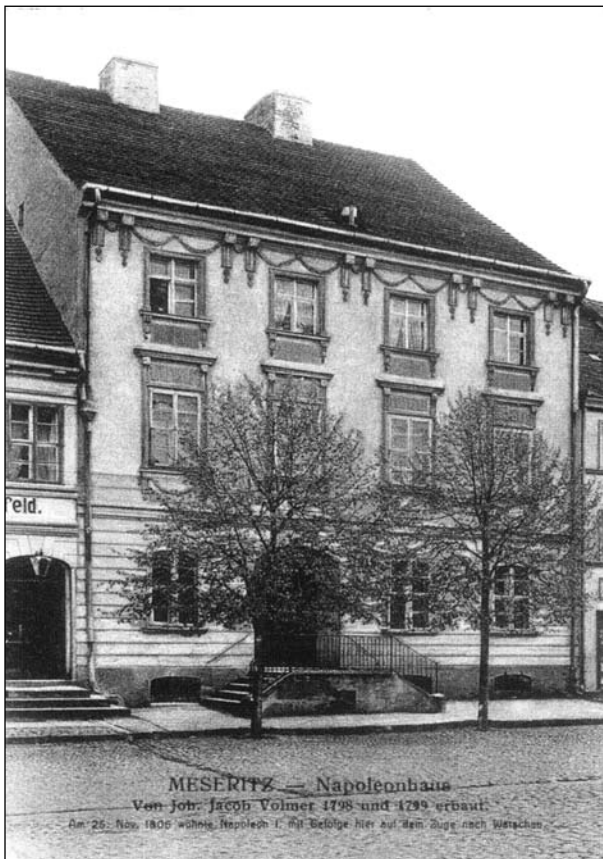
MARCELI TURECZEK

O Cesarzu Francuzów w Międzyrzeczu – dawniej i współcześnie

Międzyrzecz - niewielkie miasto, obecnie w centrum województwa lubuskiego, siedziba władz gminnych i powiatowych oraz lokalny ośrodek gospodarczo-administracyjny - stał się na początku XIX w. jednym z wielu miejsc na szlaku przemarszu wojsk napoleońskich podążających wówczas w kierunku Poznania i Warszawy. O fakcie tym zdecydowała głównie ówczesna droga wiodąca z Frankfurtu nad Odrą do Poznania. Niemniej jak się okazało, ten w istocie niewielki epizod historyczny na tle wielkich europejskich wydarzeń stał się w późniejszym okresie podstawą wielu opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, by wreszcie urosnąć do rangi wielkiego wydarzenia z przeszłości i włączyć się tym sposobem w swoisty kanon lokalnej tradycji historycznej. Inna rzecz, że owa tradycja, nie tylko zresztą w Międzyrzeczu, nieco bardziej i zarazem trochę inaczej kulturowana przez byłych niemieckich mieszkańców niż przez współczesnych polskich,

bazuje w istocie wyłącznie na przekazach ustnych, w zasadzie zupełnie niepotwierdzonych rzetelnymi badaniami historycznymi, chyba że za takie uznamy pierwsze publikacje na ten temat z pocz. XX w. Nawet nieliczna istniejąca literatura tak polska, jak też starsza niemiecka poświęcona tym wydarzeniom jest faktycznie odzwierciedleniem owej ustnej tradycji. Cytowane w niektórych publikacjach rozmowy Napoleona z międzyrzeckim kupcem sukiennym Johannem Jakobem Volmerem (postać autentyczna) nie są tak naprawdę potwierdzone źródłowo, lecz oparte jedynie na tradycji.

Niemniej jednak, jeśli przyrzeć się wspomnianej literaturze, można odnieść wrażenie, że pobyt Napoleona w Międzyrzeczu jest doskonale zbadany i opisany. Powstały nawet publikacje prasowe w tak liczących się tytułach jak „Gazeta Wyborcza”, również w tytułach lokalnych, będące prezentacją wydarzeń z 26 listopada 1806 r. Przedmiotem tych analiz jest zamach



Dom J. J. Volmera w Międzyrzeczu - Dom Napoleona, widokówka ze zbiorów Muzeum w Międzyrzeczu



Johann Jakob Volmer, reprodukcja z pracy Paula Beckera, Geschichte der Stadt Meseritz, Meseritz 1930.

na Napoleona, do którego według tradycji miało dojść, tyle że przestraszony zamachowiec zrezygnował z zabicia cesarza. Dodać warto, że planowany zamach jest zawsze wydarzeniem nader nośnym. Publikacje, odgrywające rzecz jasną istotną rolę w popularyzacji przeszłości, stają się podstawą do przyjmowania prezentowanych faktów za niepodważalne i trudno się temu dziwić. Wszak to na lokalnych badaczach historii, zarówno większego, jak i mniejszego kalibru, spoczywa w poczuciu społecznym odpowiedzialność za kształtowanie wiedzy o przeszłości.

A jak było faktycznie? Według dostępnych przekazów cesarz do Międzyrzecza miał przybyć w asyście marszałka Berthiera 26 listopada 1806 r. ok. godz. 16. 00 od strony Gorzowa Wlkp. (niem. Landsberg). Napoleon nocował w domu kupca Volmera, gdzie doszło do rozmowy oraz zakupu znacznej ilości sukna na potrzeby wojska. Następnego dnia wyruszył w dalszą drogę. Niemniej są i takie przekazy, które mówią, że Napoleon nie nocował w Międzyrzeczu. W każdym razie obok samego faktu pobytu, jednym z najczęściej podkreślanych epizodów tego wydarzenia jest wspomniany zamach. Miało do niego dojść w momencie, kiedy Napoleon opuszczając dom Volmera stanął na schodach. Niedoszłym zamachowcem był radca podatkowy Sprengel, który miał się usadowić w wieży ratuszowej. Do zamachu nie doszło, gdyż radca wystraszył się kary, a także faktu, że Francuzi w zemście zniszczą całe miasto. Wspomina się także o negatywnym nastawieniu ludności niemieckiej do stacjonujących wojsk francusko-polskich. Po pobycie w Międzyrzeczu, Napoleon udał się tradycyjną wówczas drogą przez Pszczew do Poznania, choć w jednej z ostatnich publikacji poświęconych tym wydarzeniom jest mowa o drodze przez Bytom Odrzański. Próżno jednak szukać takich informacji w monografii tego miasta, choć obszernie opisana jest okupacja Bytomia Odrzańskiego przez wojska napoleońskie. Chodzi zapewne o Bytyn, gdzie miało dojść do spotkania Napoleona z Deputacją Obywatelską z terenu Wielkopolski.

To są w zasadzie jedyne fakty, wokół których urosła napoleońska „tradycja” tak w samym Międzyrzeczu, jak też w sąsiednich miejscowościach. W każdym razie w Międzyrzeczu wszystkie przewodniki turystyczne informują o tych wydarzeniach, ponadto miejsce, gdzie znajdował się dom kupca sukienego (obecnie

park w sąsiedztwie ratusza), jest miejscem wycieczek turystycznych, brakuje tam jednak tablicy upamiętniającej pobyt cesarza. Kilka lat temu, w trakcie dyskusji o nazwach ulic powstał nawet pomysł, aby miejsce to, nazywane w Międzyrzeczu potocznie „plantami”, nazwać w sposób upamiętniający wydarzenia z 1806 r. Jak dotychczas nazwa pozostaje bez zmian, a wśród propozycji nazw obok samego Napoleona pojawił się także Volmer.

Niemniej świadomość tych wydarzeń w Międzyrzeczu, choć nie jest tak wyraźna, jak w niektórych miastach na Dolnym Śląsku, m. in. za sprawą różnorodnych ekspozycji w muzeach i izbach regionalnych, co ma swoje uzasadnienie nie tylko historyczne, ale także marketingowe, jest z pewnością zauważalna. Zarówno starsi mieszkańcy miasta, jak też uczniowie międzyrzeckich szkół potrafią wskazać podstawowe fakty. Pobyt Napoleona w Międzyrzeczu jest elementem regionalnych ścieżek edukacyjnych, zresztą doskonale wpisujących się w program nauczania historii. Wydarzenia te znalazły się także w jednym z programów szkolnych do nauczania historii regionalnej na Środkowym Nadodrzu. Bez trudu na stronach internetowych Międzyrzecza można znaleźć informacje o Napoleonie. Dodatkowo tradycja ta jest podtrzymywana przez takie inicjatywy, jak szlaki turystyczne, prowadzące przez ciekawe miejsca - np. dąb, pod którym według legendy odpoczywał Napoleon.

Tradycja napoleońska funkcjonuje także w innych miejscowościach międzyrzeckiego. Według różnych przekazów cesarz miał być witany w Skwierzynie (miasto w pow. międzyrzeckim, dawniej na granicy polsko-brandenburskiej przy drodze z Gorzowa Wlkp.), jak też według innych, uciekając spod Moskwy w 1812 r. miał nocować w domu nr 12 przy dawnej ulicy Cesarskiej (obecnie Konopnickiej). W Skwierzynie miały też być zakopane dwa wozy pełne pieniędzy, które do dziś są podobno poszukiwane. Pomijając owe pieniądze, Andrzej Kirmiel, autor monografii Skwierzyny wydanej w 2004 r., wskazuje, że „Skwierzyna wyraźnie pozazdrościła tego faktu Międzyrzeczowi (...) Żadne źródła pisane nie potwierdzają tej legendy, należy również wątpić w fakt istnienia w tym czasie zabudowy mieszkalnej w tej części miasta”. Inna rzecz, że w XIX w. przejeżdżał przez miasto pruski orszak, być może wydarzenia te mają coś wspólnego z ulicą.

Program XIV Europejskich Dni Dziedzictwa Kulturowego w Wielkopolsce z 2006 r. pt. „Napoleon i jego epoka w Wielkopolsce” przewidywał następujące atrakcje w omawianych miejscowościach województwa lubuskiego:

- Międzyrzecz: Przekroczenie granicy historycznej Wielkopolski przez orszak napoleoński
- Skwierzyna: Powitanie Napoleona w Skwierzynie
- Odczytanie odezwy Cesarza, przejazd orszaku
- Prusim: Pierwszy nocleg Napoleona w Wielkopolsce

Jak można wywnioskować z programu, w projekcie uwzględniono Wielkopolską historyczną, zatem Napoleon po raz pierwszy nocował w Wielkopolsce w Prusimiu. W Międzyrzeczu miał zaś tylko krótko odpoczywać, podczas gdy w powszechnej wiedzy funkcjonuje informacja, jakoby nocował w tym mieście. Przeciętny uczestnik zaplanowanych atrakcji dowiedział się również, że Napoleon przekroczył granicę pod Międzyrzeczem, natomiast witany był w Skwierzynie. Warto wspomnieć o innych miejscowościach. Wśród miejsc oznaczonych na szlaku napoleońskim, zaprojektowanym przez autorów powyższych obchodów, jest niewielka miejscowość (osada leśna) Karolewo w gminie Międzyrzecz. Tamże „wg ustnego przekazu zatrzymał się Napoleon, zanim wjechał do Międzyrzecza w listopadzie 1806”. Jeśli przyjrzeć się położeniu tej miejscowości w stosunku do Międzyrzecza, to należy stwierdzić, że Napoleon wjechał od strony Trzciela lub Pszczewa (pow. międzyrzecki), czyli przybył do miasta od wschodu. Być może właśnie z tym przekazem związany jest kolejny, odnoszący się tym razem do domu Napoleona w Trzcielu.

Dawny dom bramny w Trzcielu, w pierwszej poł. XX w. własność mieszczanina Hugo Ziruśa, miał być miejscem kwaterowania Napoleona pod koniec listopada 1806 r. w drodze do Poznania. Przed II wojną światową dom ten był atrakcją turystyczną, pokazywaną na pocztówkach, podobnie jak dom Volmera w Międzyrzeczu. Wiedza na ten temat funkcjonuje w Trzcielu do dziś. Jest to kolejne miejsce napoleońskie w okolicach Międzyrzecza. Niestety informacji tej nie potwierdzają źródła historyczne. Powstały w 1784 r. i kontynuowany w latach kolejnych spis mieszkańców Trzciela będący także kroniką miasta, odnosi się do wydarzeń z tego czasu w sposób następujący:



Dom Bramny albo Dom Napoleona w Trzciel, ilustracja ze zbiorów autora

„...od dnia 7 maja 1793 roku do 1807 roku byliśmy pod panowaniem Krola Pruskiego Frydrycha Wilhelma. Francuzi idąc przeciw Krolowi Pruskiemu i Cesarzowi Rosyi z wielkim wojskiem weszli do naszego kraiu dnia 1 listopada 1806 roku. Zawarli pokoy w roku 1807 i zostaliśmy iako Księstwo Wielkie warszawskie do 1812 roku. Ponieważ powtornie szedł Francuz naprzeciw Rosyi - zupełnie został zniszczony 1812 roku...” Kronikarz nie wspomina o pobycie Napoleona w mieście.

O ile tradycja napoleońska jest podtrzymywana w Międzyrzeczu przez różnego rodzaju wydawnictwa popularne, o tyle np. działalność tutejszego muzeum regionalnego nie rozwija jej w jakiś szczególny sposób, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę ekspozycję - ograniczoną z przyczyn obiektywnych dostępnymi muzealiami z epoki. Porównując wystawę muzealną z Międzyrzecza do podobnych istniejących na Dolnym Śląsku, można odnieść wrażenie, że Napoleona w Międzyrzeczu nie było, w każdym razie przeciętna, nieuważnie zwiedzająca osoba, bez pomocy przewodnika, raczej nie dowie się o tym fakcie. Ekspozycje prezentują przede wszystkim broń z epoki bez szerszego komentarza. Nieliczne informacje znajdują się na tablicach informacyjnych przeznaczonych do czytania. Należy jednak podkreślić, że autentycznych pamiątek związanych z okresem napoleońskim jest bardzo niewiele. Wśród ciekawszych można wymienić międzyrzeckie pieczęcie miejskie z okresu Księstwa Warszawskiego. Wymownym obiektem związanym z epoką napoleońską jest natomiast płyta nagrobna, znajdująca się na starym cmentarzu ewangelickim w Brójcach. W inskrypcji poświęconej zmarłemu

zamieszczono informację, że w latach 1813-1815 był uczestnikiem wojny wyzwolenczej: „Hier / ruhet In Gott / im Kreise seiner Gatin, / Kinder und Enkel / der Vetheran der Frei- / heitskriegen von 1813.14.15 / Johann Christian / Schilling / geb(ohren) den 21 Dezember 1794 / gest(orben) den 30 September 1882 / im Alter von 87 J(ahre) 9 M(onate) u(nd) 9 T(age)” (w wolnym tłumaczeniu: „Tutaj spoczywa w Bogu, w otoczeniu swojej małżonki, dzieci i wnucząt weteran wojny wyzwolenczej z 1813, 1814 i 1815 roku Jan Christian Schilling urodzony 21 grudnia 1794 roku, zmarły 30 września 1882 roku w wieku 87 lat, 9 miesięcy i 9 dni”).

Płyta ta, zawierająca typowe informacje umieszczane w inskrypcjach nagrobnych, odzwierciedla także pewien specyficzny stosunek byłych niemieckich mieszkańców do tradycji napoleońskiej. Z jednej strony patrząc na zachowane przewodniki turystyczne z okresu międzywojennego i różnego rodzaju wydawnictwa regionalne w postaci np. kalendarzy widać, że tradycja ta była swoistą atrakcją turystyczną, z drugiej jednak, okres ten przedstawiany jest jako klęska pruska i raczej wątpliwy powód do dumy. Jeśli przyrzeć się np. monografii Międzyrzecza autorstwa Paula Beckera z 1930 r., wydarzenia te opisane są w istocie zdawkowo. Podano natomiast informacje o kwaterunku wojska, kontrybucjach i wielu innych nadużyciach, które dały się we znaki mieszkańcom. Trzeba w tym miejscu także podkreślić, że Międzyrzecz był w znakomitej większości - także w okresie napoleońskim - zamieszkały przez mieszczaństwo niemieckie. Stąd też relacje o tych wydarzeniach mają zgoła odmienny charakter niż w przypadku Starego Trzciela, gdzie w 1807 r. wrócił na stanowisko polski burmistrz. Niemniej informacje o Napoleonie zawarte w wydanej w 1998 r. monografii Międzyrzecza, nie wnoszą niczego nowego w porównaniu do opracowania Paula Beckera, choć są rzecz jasna utrzymane w innym tonie. Oczywiście sam fakt różnic w podejściu do tych wydarzeń nie powinien dziwić, wszak wynika on z historii, jednak niezależnie od różnic widoczny jest także pewien wspólny sposób modelowania świadomości. Polega on mianowicie na kształtowaniu tradycji wyłącznie z perspektywy lokalnej, stojącej ponad historią narodową.

W świadomości współczesnych mieszkańców okres Księstwa Warszawskiego, a raczej sam pobyt

Napoleona, jest powodem do dumy. Pewnym przejawem takiej postawy wobec okresu napoleońskiego jest artykuł Wiesława Hładkiewicza, interesującego się zresztą kulturą francuską, pt.: „Międzyrzecz w okresie napoleońskim. Zarys dziejów gospodarczych i politycznych. Rozkwit czyli sukno górą”. Jest to pierwsza próba zebrania różnorodnych informacji dotyczących pobytu Napoleona i epoki napoleońskiej w Międzyrzeczu, zaś sam tytuł sugeruje pozytywny aspekt tych wydarzeń. Trudno jednak istniejącą literaturę międzyrzeczką porównać do całej serii popularyzatorskich opracowań Józefa Andrzeja Bossowskiego i Eugeniusza Braniewskiego przybliżających epokę i samego cesarza w regionie Lwówka Śląskiego, Wlenia itd. Trudno oczekiwać od przeciętnych mieszkańców miejscowości w okolicach Międzyrzecza szerszej wiedzy na temat epoki napoleońskiej. O ile sam pobyt cesarza w mieście nie jest czymś obcym, o tyle dalsze wydarzenia są mało znane. To zaś zdaje się być podłożem kształtowania tradycji bez potrzeby uzasadnienia jej przez popularyzatorskie choćby badania historyczne. Znanie są jedynie fragmenty, wybrane ciekawostki. Jeśli przyjrzeć się powyższym przykładom funkcjonowania owej tradycji, widać raczej modę na historię lokalną niż potrzebę badań naukowych. Kilka lat temu, jako młody pracownik międzyrzecznego muzeum spotkałem się z oburzeniem na wiadomość, że wydarzenia związane z Napoleonem są tylko legendą.

Sytuacja ta pokazała w istocie zapotrzebowanie na tego typu elementy przeszłości, a zarazem ich słabość. Nie można natomiast powiedzieć, że ma to charakter marketingowy, tak jak chociażby w Ostródzie. Daleko jeszcze do wykorzystywania legendy napoleońskiej w celach turystycznych na dużą skalę, zresztą czy są ku temu podstawy np. w postaci zabytków lub obszernych przekazów historycznych? Rodzi się podstawowe pytanie, co wobec tego pokazać zwiedzającym. Nie brakuje bowiem osób, które patrzą na owe ciekawostki z przymrużeniem oka, wszak o takich atrakcjach można usłyszeć w wielu miejscach w Polsce.

W tym kontekście używanie określenia tradycja jest raczej problematyczne, choć różnego rodzaju legendy i ciekawostki stanowią w istocie element treści uznawanych za społecznie doniosłe. Choć Napoleon istnieje w świadomości mieszkańców Międzyrzecza, to jednak nie jest to świadomość na tyle silna, żeby wpływała na kształtowanie się lokalnej tożsamości. W dotychczasowych badaniach poświęconych dziejom miasta widać raczej pewne poczucie obowiązku wobec wydarzeń z początku XIX w. Byłoby poważnym uchybieniem, gdyby w jakiegokolwiek publikacji pominięto informacje o pobycie Napoleona. Jednak porównując publikacje z początku XX w. i współczesne, widać raczej powielanie informacji niż badania historyczne.



Międzyrzeczkie tłoki pieczętne
ze zbiorów Muzeum w Międzyrzeczu,
fot. Ryszard Patorski

Pobyty Napoleona w Międzyrzeczu jest bez wątpienia w wymiarze duchowym elementem lokalnego dziedzictwa kulturowego. Brakuje jednak przede wszystkim widocznych świadectw epoki. Przed rokiem 1945 można było pokazywać dom, w którym przebywał cesarz, obecnie nie ma tego obiektu, natomiast opowiadanie przewodnika w miejscu, gdzie nie ma nawet tablicy pamiątkowej, jest równie mało wiarygodne. Właśnie taka tablica lub nazwa parku, obserwując emocje, które wywołała tablica w Trzcielu zawieszona ostatnio z okazji obchodów powstania miasta, mogłaby wzmocnić poczucie owej napoleońskiej świadomości. Tablice takie upamiętniające wybitne postacie z dziejów miasta funkcjonują z powodzeniem np. na zielonogórskim deptaku, również w Międzyrzeczu wmurowano je z okazji obchodów 1000-lecia grodu.

Literatura:

- Becker P., *Geschichte der Stadt Meseritz*, Meseritz 1930.
- Boras Z., *Dzieje Międzyrzecza i okolicy do roku 1939*, w: *Międzyrzecz i okolice*, red. T. Łuczak, D. Matyaszczyk, Międzyrzecz-Gorzów Wlkp. 1998, s. 59-106.
- Hertel E., *Napoleon I in Meseritz 26 November 1806*, „Aus dem Posener Lande”, 1913, s. 296-299.
- Hładkiewicz W., *Międzyrzecz w okresie napoleońskim. Zarys dziejów gospodarczych i politycznych. Rozkwit czyli sukno górą*, w: *Ziemia Międzyrzecka. Śladami historii*, red. B. Mykietów, M. Tureczek, Międzyrzecz-Zielona Góra 2005, s. 235-244.
- Nowak W., *Skąd strzelano do Napoleona?*, „Gazeta Wyborcza”, 20 stycznia 1994, s. 3.
- Pick A., *Aufenthalt Napoleons in Meseritz 26. 11. 1806*, „Meseritz Kreis- und Wochenblatt”, 1902, s. 106.
- Polsko-niemieckie dziedzictwo kulturowe w 1000-letniej historii Międzyrzecza*, opr. B. Mykietów, K. Sanocka, M. Tureczek, Międzyrzecz 2005.
- Program nauczania historii dla liceów ogólnokształcących na terenie Środkowego Nadodrza*, B. Burda, D. Dolański, J. Dudek, T. Nodzyński, Zielona Góra 1997.

HIERONIM KROCZYŃSKI

Groby z czasów napoleońskich w Kołobrzegu

Kołobrzeg od drugiej połowy XVII w. do 1872 r. był pruską twierdzą Kolberg. W wojnie napoleońskiej Francji z Prusami 1806/1807 twierdza Kolberg była jedną z trzech pruskich twierdz nie zdobytych przez oddziały napoleońskie. Pozostałe dwie to twierdza Graudenz (Grudziądz) i twierdza Cosel (Koźle). Fakt ten później wykorzystywano w popularyzacji chwały oręża niemieckiego.

Twierdza kołobrzewska broniła się przez cztery miesiące. Oblegały ją oddziały państw sprzymierzonych z Francją: dywizja włoska, bataliony państw niemieckich i polski pułk piechoty księcia pła Antoniego Sułkowskiego. Były zbyt słabe, żeby zdobyć twierdzę posiadającą dobre naturalne warunki do obrony. Spiętrzona śluzami woda rzeki Parsęty tworzyła wokół twierdzy ogromne rozlewiska. Liczba zgonów była dość duża, około 1200-1500 osób. Byli to żołnierze i osoby cywilne, polegli i zmarli. Zmarli nie tylko z ran, ale także z powodu epidemii malarii. Ponieważ

ci ostatni umierali w szpitalach rozmieszczonych w różnych, często odległych miejscowościach, ich liczby nie da się precyzyjnie ustalić.

W tamtym czasie nie było jeszcze zwyczaju tworzenia cmentarzy wojennych. Poległych chowano na pobojuwisku w zbiorowych mogiłach, a zmarłych najczęściej na cmentarzach, ale też w różnych przypadkowych miejscach. Następne pokolenie już o nich nie pamiętało. Odkrywano je czasem przypadkowo przy okazji prac budowlanych. Takie przypadki miały miejsce jeszcze za czasów niemieckich w lasku Załęże z lewej strony ujścia rzeki Parsęty i w pobliżu amfiteatru. Znaczniejszym osobistościom stawiano pomniki nagrobne. Te przetrwały dłużej, dwa do 1945 r., jeden do dziś.

Najokazalszy nagrobek, w formie dużego obelisku zwieńczonego kulą armatnią, miał gen dyw. Pierre Teulié. Urodził się 13 lutego 1769 r. w Mediolanie jako syn Francuza Filipa i Włoszki Teresy z domu Grippa.



Gen dyw. Pierre Teulié (1769-1807)

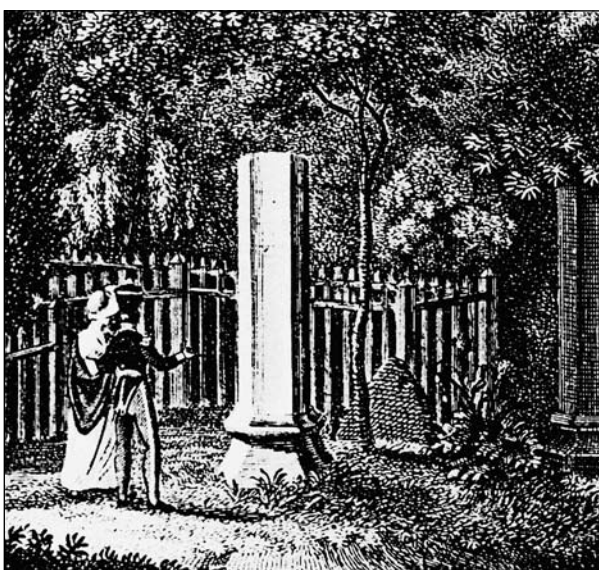


Joachim Nettelbeck (1738-1824), portret pędzla Józefa Faworskiego.

Ukończył studia prawnicze i wykonywał zawód adwokata w Pawii. W roku 1796 wstąpił do wojska. Piastował wiele odpowiedzialnych stanowisk w administracji armii. W 1801 r. został ministrem wojny Republiki Cisalpińskiej. Był przyjacielem i współpracownikiem gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. 1 marca 1805 r. został mianowany generałem dywizji i dowódcą dywizji włoskiej wysłanej do Francji. W marcu 1807 r. ze swoją dywizją przybył pod Kołobrzeg. Zginął przypadkowo. 11 czerwca około godz. 22 przebywał w Forcie Wilczym (obecnie amfiteatr), dopiero co opuszczonym, po kapitulacji pruskiej załogi i zawartym do godz. 10-tej następnego dnia zawieszeniu broni. Wydawał rozkazy pracującym tam saperom. Prusacy jednostronnie, bez ostrzeżenia, złamali zawarte zawieszenie broni i rozpoczęli ostrzeliwanie fortu przez artylerię forteczną. Z tego powodu komendant twierdzy mjr Gneisenau zyskał sobie wśród wojsk oblegających opinię człowieka bez honoru. Traf zrzucił, że jedna z pruskich kul armatnich strzaskała gen. Teulié biodro. Ciężko rannego przewieziono do szpitala w pobliskiej Stramnicy, gdzie amputowano mu nogę, ale po kilku dniach zmarł. Pochowano go w Stramnicy, a zabalsamowane serce wysłano żonie do Paryża. Okazały nagrobek gen. Teulié utrwalił na swoim drzeworycie Daniel Berger. W roku 1836 krewni generała dokonali ekshumacji szczątków i przewieźli je do Mediolanu, gdzie spoczywają do dziś. Wówczas nagrobek w Stramnicy rozebrano.

Groby Nettelbecka i Waldenfelsa na stalorycie Rosmäslera z 1838 r.

Oryginalny nagrobek miał zastępca komendanta twierdzy i dowódca batalionu grenadierów kpt. Karl Wilhelm Ernst von Waldenfels. Urodził się 10 kwietnia 1772 r. w Bayreuth w rodzinie właścicieli ziemskich. W piętnastym roku życia wstąpił do wojska. Służył najpierw w 56. Pułku Piechoty, później w 45. Pułku Piechoty. W randze kapitana w bitwie pod Jeną w 1806 r. został lekko ranny. Na przełomie listopada i grudnia był już w składzie załogi twierdzy kołobrzeskiej. Poległ w nocy 15 czerwca 1807 r. w czasie obrony zdobytego parę godzin wcześniej Fortu Wilczego. Prawdopodobnie poległ od kuli polskiego żołnierza. Pozostawił żonę Elżbietę z domu Sarasin, pochodzącą z patrycjuszowskiej rodziny z Frankfurtu nad Menem oraz dwie córki Elżbietę i Teresę. Waldenfelsa pochowano z honorami wojskowymi na cmentarzu



portowej dzielnicy Kołobrzegu Ujście. 17 lat później, obok pochowano Joachima Nettelbecka.

Joachim Nettelbeck był znaczącą postacią kołobrzесьkiego mieszczaństwa. Urodził się 20 września 1738 r. jako syn Dawida, miejscowego szewca trudniącego się jednak drobnym handlem oraz produkcją piwa i wódki. Joachim poszedł jednak śladem rodziny matki nazwiskiem Blanke, gdzie wszyscy byli marynarzami. Zaczynał jako chłopiec okrętowy, by dojść do pozycji kapitana statku. Przez wiele lat pływał pomiędzy Afryką i Ameryką handlując niewolnikami. Na starość wrócił do rodzinnego miasta i tu został przewodniczącym reprezentacji mieszczan przy komendancie twierdzy. W czasie oblężenia w 1807 r. był odpowiedzialny przed komendantem twierdzy za prace pomocnicze mieszczan, szczególnie w zakresie utrzymania w odpowiednim stanie służ i za służby ratownicze. Zmarł 29 stycznia 1824 r. Pochowano go obok kpt. Waldenfelsa.

Groby Waldenfelsa i Nettelbecka miały identyczny kształt i na ilustracjach występują zawsze razem. Nagrobkami były dwie kolumny średniowiecznego rąsusa zniszczonego w czasie oblężenia 1807 r. Groby różniły się tylko napisami na kolumnach. W połowie XIX w., w związku z rozwojem uzdrowiska, cmentarz przekształcono na park. Groby Waldenfelsa i Nettelbecka pozostawiono jako pamiątki historyczne. Zostały zniszczone w 1945 r.

Jeszcze jeden grób z tamtego okresu wytrzymał próbę czasu i jako jedyny istnieje do dziś nad Parsętą przy ul. Jana Frankowskiego. Jest to grób pruskiego oficera kpt. Heinricha von Rödera. Urodził się on 15 maja 1771 r. w Wodzisławiu Śląskim. Służył



Grób kpt. Heinricha von Rödera. Fotografia z okresu międzywojennego. Ogródenie grobu nie zachowało się.

w 2. Pomorskim Batalionie Rezerwowym. W ostatnim dniu oblężenia twierdzy 2 lipca 1807 r., na Lęborskim Przedmieściu, został ciężko ranny pociskiem artyleryjskim. Na drugi dzień zmarł. Ponieważ był katolikiem, a wszystkie cmentarze w Kołobrzegu były cmentarzami ewangelickimi, pochowano go na pustym miejscu za głównymi fortyfikacjami twierdzy. Nagrobek ufundowała rodzina. Była to płyta nagrobna i metalowy parkanik na podmurówce. Na grobie posadzono dwie lipy. Chyba te dwustuletnie drzewa, które oploty płytę nagrobną swymi korzeniami, uratowały grób przed zniszczeniem. Obecnie przygotowana jest tablica informacyjna o tym obiekcie.

W 1925 r. dawny Fort Wilczy przebudowano na amfiteatr. Na wałach fortu od strony wschodniej powstał grób wtórny poległych w tym rejonie w 1807 r. żołnierzy. Nagrobek upamiętniał tylko grenadierów pruskich. W 1807 r. w zbiorowych mogiłach pochowano tu poległych żołnierzy pruskich, polskich i włoskich. Nagrobek został zniszczony po ostatniej wojnie.



Zbiorowy grób wtórny przy amfiteatrze z upamiętnieniem grenadierów Waldenfelsa. Zniszczony w 1945 r.

Pałac rodziny Finckensteinów w Kamieńcu Suskim¹

Na terenie dzisiejszych Mazur znajduje się kilkadziesiąt dawnych rodowych siedzib – pałaców i dworów, należących niegdyś do możnych wschodniopruskich rodzin.² Wiele z nich zostało rozgrabionych i zniszczonych pod koniec II wojny światowej przez Armię Czerwoną, a następnie znalazło się wraz z przylegającymi gruntami w Państwowym Gospodarstwach Rolnych. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX w. niektóre z rezydencji doczekały się odbudowy przez prywatnych inwestorów.³ Natomiast te, z których pozostały właściwie tylko zewnętrzne mury – jak pałace w Kamieńcu, Słobitach, czy Gładyszach – nadal pozostają ruiną. Elementy ich wyposażenia, rozgrabione w 1945 r., znalazły się w posiadanie wielu polskich i zagranicznych muzeów. Nierzadko pojawiają się także na rynku antykwarycznym.

W zbiorach kilku rodzimych placówek muzealnych znajdują się obiekty związane z pałacem rodziny Finckensteinów w Kamieńcu Suskim. Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie przechowuje w swoich magazynach dwie metalowe płyty piecowe, fragment XVIII-wiecznej kraty oraz plan jednej z kondygnacji pałacu

z 1930 r. W muzeum w zamku w Lidzbarku Warmińskim eksponowane są dwie lufy dział, wykopane na terenie posiadłości w 1974 r. Muzeum Narodowe w Warszawie posiada w swoich zasobach dwa obrazy, pochodzące z pierwszej połowy XIX w. Obiekty te przypominają o minionej dawno świetności barokowej rezydencji. Dziś, jako pozbawione pierwotnego kontekstu eksponaty, przywołują pamięć o różnych okresach jej funkcjonowania.

Przyglądając się historii pałacu w Kamieńcu Suskim należy przede wszystkim pamiętać, że należy on do grupy obiektów o wyjątkowej randze – zarówno architektonicznej, jak i historycznej. Wymaga tym samym spojrzenia zarówno od strony czysto artystycznej, jak i również związanej z dawnymi mieszkańcami, ich koligacjami oraz kulturą zamieszkiwania.

Finckensteinowie posiadali rozległe koneksje z przedstawicielami innych rodów, a także z dworem panującym. W Słobitach rezydowała spokrewniona z Finckensteinami rodzina zu Dohna-Schlobitten (w której ręce przeszedł później pałac kamieniecki), w Gładyszach z kolei inna linia tego samego rodu –



Pałac w Kamieńcu Suskim, widok od strony głównego dziedzińca, ok. 1900, Zbiory Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, Sygn. 33699.



Pałac w Kamieńcu Suskim, widok od strony głównego dziedzińca, widok współczesny.

zu Dohna-Schlodien. Ponadto właściciel i inicjator budowy pałacu w Kamieńcu, Albrecht Konrad Finck von Finckenstein, jako szczególnie zaufana osoba na dworze Fryderyka I, był wychowawcą następcy tronu – Fryderyka Wilhelma.

Status społeczny właścicieli wywarł przemożny wpływ na kształt architektoniczny rezydencji. Bliskie powiązania z dworem oraz położenie Kamieńca, przy drodze Susz-Dzieżoń, na trasie podróży króla z Berlina do Królewca (trwającej wówczas osiem dni w jedną stronę) wpłynęło na nadanie siedzibie rysu monarszego.

W najstarszych, pochodzących z 1339 r. źródłach, wieś Kamieniec określana jest jako Hawirsdorf. Podobna nazwa – Hafersdorf – podana jest w 1414 r. w powstałej po zniszczeniach wojennych tzw. „Księdze szkód”. Trudno jednoznacznie określić kiedy pojawiła się dzisiejsza nazwa Kamieniec, wiadomo jednak że jest niewątpliwie stara, gdyż podaje ją „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” z 1882 r.

Po utworzeniu w 1525 r. Księstwa Pruskiego wieś, wraz całym starostwem szymbarskim, przeszła pod panowanie wcześniejszego biskupa Sambii – Georga von Polenz. Ten z kolei wydzierżawił miejscowość Balthasarowi von Köckeritz, za czasów którego określana była jako Habersdorf. Od 1556 r. rodzina von Polenz znajdowała się w posiadaniu generalnej inwestytury starostwa szymbarskiego „w którym leżą dobra Habersdorf”⁴. Z czasów wnuka biskupa Georga, Fryderyka von Polenz na Hebersdorfie (zmarłego około 1613/1614) oraz jego żony Elżbiety (z domu von Packmohr), zachowała się – wspomniana we wstępie

– płyta piecowa z herbami obojga małżonków oraz przedstawieniem chrztu Chrystusa. Istnienie płyty pozwala przypuszczać, że przed powstaniem barokowego pałacu na tym samym miejscu stał XV-wieczny dwór mieszkalny.

Następnymi właścicielami dóbr rodziny von Polenz byli Krzysztof Starszy oraz Krzysztof Młodszy. Ostatni z nich w 1653 r. sprzedał majątek Janowi Kazimierzowi Freiherr zu Eulenburg, synowi Elżbiety von Polenz. Eulenburg był w posiadaniu włości kamienieckich zaledwie pół wieku; w 1705 r. po śmierci swojej żony zmuszony był je sprzedać. Nabywcą był obdarzony za wybitne zasługi stopniem feldmarszałka i tytułem hrabiego Rzeszy, Albrecht Konrad Finck von Finckenstein, pełniący na berlińskim dworze funkcję wychowawcy następcy tronu. Zbudował on w Kamieńcu kościół (1706-1716), pałac (1716-1720) oraz wieś (w latach dwudziestych XVIII w.). Nową nazwę – Finckenstein – zyskały dobra w 1718 r., mocą rozkazu króla Fryderyka Wilhelma I podczas jego pobytu na uroczystości poświęcenia kościoła.

Późniejszy właściciel z linii Finckensteinów – Fryderyk Ludwik – jako że nie posiadał żadnego męskiego potomka, sprzedał w 1782 r. swoją własność mężowi swojej córki Karoliny – Aleksandrowi zu Dohna-Schlobitten. Odtąd, aż do momentu spalenia budowli w 1945 r., dobra pozostawały w rękach rodziny Dohnów.

Zbudowany przez Albrechta Konrada Finck von Finckenstein pałac, powstały wraz z zabudową wsi, stanowił przykład wyjątkowy na tle innych wschodniopruskich rezydencji tego czasu. Zarówno pałacowi,



Klatka schodowa w dawnym pałacu, Zbiory Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, Sygn. 33700.



Pomieszczenie klatki schodowej w ruinie, widok współczesny.

kościółowi, jak i domom we wsi nadany został ten sam stylowy charakter – elewacjom z czerwonej cegły lub też otynkowanym na ten kolor, towarzyszyły jasne obramienia drzwi i okien. Całość była także jednolita pod względem urbanistycznym. Autorem założenia, pracującym na zlecenie Albrechta Konrada, był najprawdopodobniej Jean de Bodt, francuski architekt, autor berlińskiego arsenału oraz współpracownik Andreea Schlütera.

Pałac w Kamieńcu był trójskrzydłowym założeniem entre cour et jardin. otynkowanym na jasnoczerwony kolor. Budowlę przykrywał mansardowy dach z zielonej szkliwionej dachówki, z którego wyrastało dwanaście granatowych kominów. Główna część składała się z dwóch pięter, uzupełnionych w skrzydłach bocznych po obu stronach kondygnacją mezzanina. Środek budynku podkreślały ryzality, zakończone od strony dziedzińca trójkątnym szczytem z płaskorzeźbioną dekoracją oraz attyką z czterema rzeźbami od strony ogrodu. Rytmiczny podział fasad przeprowadzono za pomocą lizen, obramień okiennych oraz nisz.

Ciemniejszy tynk oraz jasne elementy dekoracyjne fasad, dziś jedynie śladowo widoczne na zachowanych ścianach ruiny, tworzyły wrażenie barwnej oraz spójnej kompozycyjnie architektury. Zastosowanie rzeźb w ryzalitach podkreślało, w porównaniu z innymi pruskimi rezydencjami szlacheckimi, wyjątkową wystawność siedziby Finckensteinów. Zewnętrzny wyraz pałacu bowiem był ważnym elementem w kontekście toczącej się w XVIII w. nieoficjalnej rywalizacji między możnymi pruskimi rodzinami. Szczególnie przeznaczenie kamienieckiej siedziby na tymczasową rezydencję królewską⁵ podczas podróży z Berlina do Królewca, zobowiązywało do nadania całości wystawnego charakteru.

Nie tylko jednak wyraz zewnętrzny budowli, ale także wewnętrzny układ pomieszczeń oraz wyposażenie ewokować miały wrażenie rezydencji godnej przyjmowania królewskiej pary. Przez wzgląd na status społeczny rodziny, pałac w Kamieńcu wpisował się w tym względzie w określone tendencje architektoniczne. Jednak równocześnie, podobnie jak w przypadku innych wschodniopruskich rezydencji dostosowanych do goszczenia króla (Słobit, Drogosz, Friedrichsteinu), pałac ów był nie tyle kopią monarszej siedziby, ile w powściągliwy sposób odwoływał się do jej standardów⁶.



Ryzalit od strony głównego dziedzińca pałacu, 1949, fot. Z. Rewski, Zbiory Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, Sygn. 3098/R.



Attyka elewacji ogrodowej pałacu, 1948 fot. Z. Rewski, Zbiory Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, Sygn. 39809.

Najważniejsze pokoje znajdowały się w głównym skrzydle i ułożone były amfiladowo w dwóch, połączonych ze sobą ciągach komunikacyjnych – wschodnim i zachodnim. Układ pomieszczeń był symetryczny po obu stronach głównej osi oraz analogiczny na obu piętrach. Na parterze oprócz holu wejściowego oraz klatki z obszernymi schodami znajdowały się wnętrza reprezentacyjne: tzw. pokój chiński, jadalnia, niebieski pokój pana domu oraz niebieski salon. Tam toczyło się codzienne życie właścicieli oraz przyjmowano gości.

Na piętrze usytuowane zostały przede wszystkim pomieszczenia związane z przyjmowaniem króla. W centralnej części znajdował się tzw. salon brązowy oraz stara biblioteka. Na lewo od sali brązowej położony był apartament króla, na prawo natomiast apartament królowej.

W skrzydłach bocznych pałacu na parterze znajdowały się pomieszczenia mieszkalne właścicieli oraz – w kondygnacji mezzanina – pomieszczenia dla służby. Piętro zajmowały pokoje przeznaczone dla służby królewskiej pary.

Plan mezzanina zachował się w zbiorach Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Wprawdzie pochodzi on dopiero z 1930 r. i stworzony został na potrzeby remontu (doprowadzenie centralnego ogrzewania do pomieszczeń), daje jednakże obraz układu nie utrwalonego na fotografiach pomieszczeń.

Choć program funkcjonalny rezydencji nastawiony był przede wszystkim na przyjmowanie pary królewskiej, to w istocie królowie – Fryderyk Wilhelm I i Fryderyk II Wielki gościli w nim zaledwie kilkakrotnie. Należy więc przypuszczać, że już sam fakt umieszczenia w pałacu apartamentów królewskich w oczach innych przedstawicieli wschodniopruskiej arystokracji nadawał całej rezydencji wyjątkowy prestiż.

W odróżnieniu od wizyt królewskich znacznie większe znaczenie w pamięci właścicieli przyznawane było wizycie Napoleona. Upamiętniająca dziś jego wizytę pamiątkowa tablica na bramie pałacu podaje, że w dniach „1.IV.1807–6.VI.1807 przebywał w tym pałacu i stąd rządził cesarstwem Napoleon”. Z tej okazji, na jego specjalne życzenie, odpowiednio przystosowane zostały królewskie pokoje. Z kolei w komnatach królowej gościł przez krótki czas przybyły na spotkanie z cesarzem perski poseł. Dlatego też później oba apartamenty określane były odpowiednio *Persiche Gesandten-Stube* oraz *Napoleon-Stube*.

Bezpośrednim powodem przybycia cesarza (przebywającego wówczas w Warszawie) na teren Prus Wschodnich była wiadomość o niespodziewanym ataku armii rosyjskiej w okolicach Mławy. Po nierozstrzygniętej bitwie pod Iławą Napoleon zatrzymał się w zamku krzyżackim w Ostródzie. Jednak złe warunki, wilgoć i zimno przyczyniły się do decyzji o przenosinach do pałacu w Kamieńcu. Według podań rodzinnych Dohnów na widok rezydencji Napoleon miał wówczas zakrzyknąć: „Enfin un chateau!”⁷.

Pobyt cesarza w Kamieńcu wyraźnie zdominował powszedni rytm funkcjonowania rezydencji. Fakt ów uwidacznia szczególnie zachowana relacja ogrodnika Baeckera oraz jego małżonki, spisana w 1841 r. przez Alfreda von Auerswalda, starostę królewskiego powiatu suskiego na zlecenie ówczesnego właściciela pałacu – hrabiego Georga zu Dohna.

Napoleon użytkował nie tylko apartamenty pierwszego piętra, ale także reprezentacyjne wnętrza parteru. Na wjazdowym dziedzińcu dokonywano codziennie o godzinie dwunastej uroczystej parady wart. „Przy dobrej pogodzie uczestniczył w niej cesarz. Oprócz tego dokonywał w parku musztry wojska, czynił to prawie codziennie o dziewiątej rano”⁸.

Z pewnością dla Napoleona nie bez znaczenia pozostał fakt, że Kamieniec nosił miano królewskiej siedziby. Według podań służby, bezpośrednio po przy-

byciu do pałacu miał on rozpytywać o pomieszczenia, w których nocował Fryderyk II Wielki.

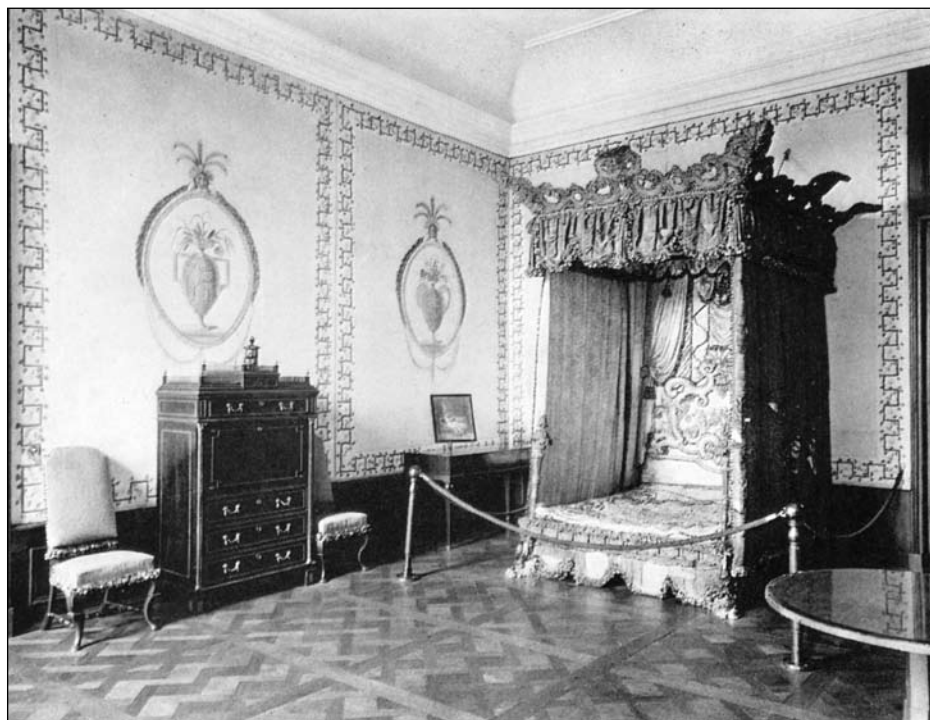
Królewska komnata, w której zamieszkał, była „dobrze chroniona, gdyż wokoło znajdowało się całe otoczenie cesarza. Wejścia do niej, od strony dwóch innych komnat, zaopatrzone zostały w potężne rygle stalowe. Zostały one wykute przez miejscowych ślusarzy na zlecenie Francuzów jeszcze przed przybyciem cesarza. W jednej z tych sal przebywali podczas dnia ordynansi i adiutanci, a podczas dnia spał w niej mameluk Rustan, który kładł się przy drzwiach. (...) Jadalnia pałacu służyła królowi na audyencje. Gabinet obok komnaty służył cesarzowi jako miejsce kąpeli i był zamykany niezwykle tęgim rygłem”⁹.

Oprócz licznego grona, które otaczało Napoleona w Kamieńcu, cesarzowi towarzyszyła także pani Walewska, poznana przez niego w styczniu 1807 r. na balu karnawałowym w Warszawie. Czas, który spędzili wówczas ze sobą, miał później wspominać Napoleon jako najszcześniejszy w życiu. W sposób niezwykle tajemniczy pobyt Walewskiej opisany został we wspomnieniach małżeństwa ogrodników: „W pokoju hrabiny, który był zwykle zamknięty przebywała pewna polska dama. Sąsiadujący gabinet służył jej za łazienkę [połączoną z sypialnią Napoleona – przyp. A.P]. Kobieta ta, która niekiedy wyjeżdżała na jeden albo dwa dni, przybywała i opuszczała pałac jedynie nocą”¹⁰. Ponoć wtedy właśnie Napoleon wraz ze swoją towarzyszką udawał się na spacer do parku. Dlatego też jedna z głównych ogrodowych alei nazwana została imieniem cesarza.

Wnętrza, w których spędzili kilka wspólnych miesięcy Napoleon oraz pani Walewska, można dziś podziwiać na zdjęciach zachowanych w archiwum rodziny Dohnów¹¹, a także w filmie „Pani Walewska” z Gretą Garbo w roli głównej, nakręconym w latach trzydziestych XX w.

Wśród dzisiejszych ruin dają się rozpoznać jeszcze ślady po poszczególnych pomieszczeniach, w których przebywali właściciele rezydencji oraz ich sławni goście. Oprócz zdjęć i filmu, pamięć o minionym życiu kamienieckiej rezydencji przywołują wspomniane elementy wyposażenia. W pewnym sensie świadczą o swoistej kontynuacji historii tej siedziby, znamiennej przecież również dla wielu innych pałaców i dworów dawnych Prus Wschodnich. Bardzo często dzieje przechodzących po wojnie z rąk do rąk przedmio-

Pokój Napoleona
z królewskim łóżem,
Źródło: Lorck, C. von,
*Schloss Finckenstein. Bau-
und Kunstdenkmäler des
deutschen Ostens*, Reihe B:
Ost- und Westpreußen,
Bd. 7, Frankfurt/M 1966.



tów są o wiele bardziej skomplikowane niż historie budynków, w których się znajdowały.

Ekspozyty z pałacu w Kamieńcu trafiły do zbiorów muzealnych instytucji bardzo różnymi drogami. Nie we wszystkich przypadkach zachowała się dokumentacja na temat sposobu ich zabezpieczenia. Są one jedynie nielicznymi przykładami z bogatego wyposażenia dawnej rezydencji. W trakcie II wojny światowej lub bezpośrednio po jej zakończeniu większość dzieł została rozgrabiona nie tylko przez przechodzącą armię, ale również okolicznych mieszkańców.

W najogólniejszym zarysie znana jest historia dwóch XIX-wiecznych olejnych pejzaży z Muzeum Narodowego w Warszawie¹². W dokumentacji Muzeum znajduje się sprawozdanie kustosa Stanisława Gebethnera z dnia 8 października 1948 r. z „wizytacji mienia kulturalnego w majątkach poniemieckich pod zarządem państwowym na terenie województwa olsztyńskiego”. Z jego treści wynika, że pałac w Kamieńcu był spalony, a dwa „obrazy, znajdujące się pod opieką administratora majątku, uszkodzone. Początkowo miały one trafić do dekoracji siedziby Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, ale ostatecznie znalazły się w zbiorach Muzeum Narodowego”¹³. Jak widać na przykładzie obrazów z Kamieńca, opieka nad opustoszałymi rezydencjami wschodniopruskiej szlachty była znikoma, a ocalałe z palonych budyn-

ków przedmioty krążyły po państwowych instytucjach różnymi drogami.

W efekcie, dzięki umieszczeniu w muzeum, elementy wyposażenia – w tym między innymi dwa XIX-wieczne obrazy – przetrwały do naszych czasów. Podobnie zabezpieczona została część dekoracji zewnętrznej pałacu; w połowie lat siedemdziesiątych XX w. znajdujące się na attyce elewacji ogrodowej rzeźby przeniesione zostały na skwer przy ulicy Niepodległości w Łławie. Zdjęcie z attyki wykonanych z drobnziarnistego piaskowca figur umożliwiło bliższe określenie ich proveniencji oraz programu treściowego¹⁴. Okazało się, że rzeźby te przedstawiają cztery żywioły i pierwotnie ustawione były nie na samym budynku pałacu, ale w ogrodowej grotcie. Najprawdopodobniej zostały one wykonane przez artystę związanego ze środowiskiem drezdeńskim. Dzięki temu odkryciu wiadomo dziś, że rezydencja Finckensteinów w Kamieńcu była efektem współpracy artystów z różnorodnych środowisk, nie tylko Berlina – skąd pochodził projektant całego założenia Jean de Bodt.

Rozgrabiony i spalony w 1945 r. pałac z roku na rok popada w coraz głębszą ruinę. Porównanie zdjęć ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN w Warszawie z końca lat czterdziestych XX w. oraz stanu obecnego wyraźnie uświadamia, jak szybko postępuje degradacja zachowanych fragmentów budynku. Po okresie „władania” przez Państwowe Gospodarstwo Rolne,

pałac przejęła Agencja Rolna Skarbu Państwa, która z kolei przed kilkoma laty wystawiła go na sprzedaż. Od tego momentu budynek wraz z przylegającymi terenami znajduje się w rękach prywatnych. Grunty wokół pałacu zostały ogrodzone siatką, otynkowano filary bramy oraz odnowiono zdobiące je wazony. W bramie zamontowana została nowa krata.

Brakuje jednak działań dotyczących samego pałacu, polegających na choćby częściowym zabezpieczeniu ruiny. Jedynymi mieszkańcami rezydencji w Kamieńcu są bociany, które uwiły gniazdo na tympanonie, bezpośrednio nad głównym wejściem. Dziś można jedynie w wyobraźni budować obraz dawnej świetności pałacu oraz barokowego ogrodu, w którym rozpoznać można tylko lipową aleję, którą ponad dwieście lat temu spacerowali cesarz Napoleon wraz z Marią Walewską.

¹ Tekst referuje skrótowo badania nad pałacem w Kamieńcu Suskim, prowadzone we współpracy z Haraldem Goldbeckiem-Löwe w ramach programu badawczego „W cieniu Berlina i Warszawy. Architektura rezydencjonalna w Prusach i w północnej Rzeczypospolitej XVII-

XIX w.” (Instytut Historii Sztuki, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu/Kunsthistorisches Seminar, Universität Hamburg).

² Por.: M. Jackiewicz-Garniec, M. Garniec, *Schlösser und Gutshäuser in ehemaligen Ostpreussen*, München 1993.

³ Szczególnym przypadkiem są Nakomiady, gdzie odremontowano nie tylko pałac, ale także odtwarzany jest otaczający go niegdyś barokowy ogród.

⁴ C. Lorck, *Schloß Finckenstein*, Frankfurt/M 1996, s. 12.

⁵ Do tzw. królewskich rezydencji zaliczono także rezydencje w Słobitach, Drogoszach i Friedrichsteinie. J. Cygański (red.), *Susz. Z dziejów miasta i okolic*. Olsztyn 2006, s. 113.

⁶ P. Korduba, *Wielkie rezydencje dawnych Prus Wschodnich*, „Spotkania z zabytkami”, 11/2007, s. 4-7.

⁷ *Susz. Z dziejów.* s. 113.

⁸ *Ibidem*, s. 190.

⁹ *Ibidem*, s. 188-189.

¹⁰ *Ibidem*.

¹¹ Ich reprodukcje znajdują się w monografii pałacu autorstwa C. Lorcka, op.cit.

¹² Dzieło autorstwa nieznanego malarza to *Krajobraz z zatoką wśród skał*, natomiast obraz Wilhelma Augusta Krausego nosi tytuł *Półów ryb na wzburzonym morzu*.

¹³ List Ferdynanda Ruszczyca, Dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie do dr Piotra Korduby z dnia 18 lipca 2007.

¹⁴ M. Kałamajska-Saeed, *Rzeźby z pałacu w Kamieńcu Suskim i problem jego przebudowy około 1760 roku*, „Rocznik Olsztyński”, nr XII/XIII, 1981, s. 33-47.

IZABELA LEWANDOWSKA

Trakt biskupi na Warmię. Dziedzictwo kulturowe gminy Purda

Na mocy drugiego pokoju toruńskiego w 1466 r. Prusy Królewskie i Warmia weszły w skład państwa polskiego. Rozpoczął się 300-letni polski okres w dziejach Warmii. Przed 1466 r. ziemie te były początkowo zamieszkiwane przez pruskie plemiona Warmów i Galindów, potem zaś weszły w skład państwa krzyżackiego. Po 1772 r. biskupstwo warmińskie straciło swoją autonomię i zostało wcielone do państwa pruskiego, w którego granicach pozostało do końca II wojny światowej.

Niniejszy tekst dotyczy nie tyle ludzi, co miejsca w krajobrazie i wydarzeń, które się z nim wiązały przez kilkaset lat polskiej kultury na Warmii. Miejsce to odkrył w 2005 r. nauczyciel wychowania fizycz-

nego w szkole podstawowej w Butrynach, miłośnik tej ziemi, zapalony przyrodnik i krajoznawca Jerzy Laskowski (obecnie wójt gminy Purda). Spacerując po okolicznych lasach odnalazł urokliwą, chociaż zdezastowaną, aleję lipową w miejscowości Bałdy, 2 km od Butryn, obsadzoną prawie 300-letnimi drzewami. Nauczyciel zainteresował tym miejscem pasjonata warmińskości Edwarda Cyfusa, który zainspirował poszukiwania w literaturze i popularyzację tego miejsca. Okazało się, że jest to ponad kilometrowy fragment historycznego traktu wiodącego z Warszawy do Lidzbarka Warmińskiego, którym na Warmię przez setki lat podążali nowo mianowani biskupi¹.

Biskupów zarządzających Warmią wybierała wówczas kapituła. Jednakże król polski chciał mieć wpływ na obsadę biskupstwa, w zamian za co dawał biskupowi stanowisko w senacie Rzeczypospolitej, dużą autonomię polityczną i finansową oraz tytuł książe. Doszło więc do układu, na mocy którego kapituła miała wybierać na biskupa tylko osobę „miłą królowi”. Tak więc wszyscy biskupi warmińscy od Maurycego Ferbera do Ignacego Krasickiego, czyli od 1523 do 1767 r., pochodzili z wyboru polskiego króla. Byli mianowani w Warszawie i dopiero potem udawali się do swojej diecezji. Niestety Warmia, mimo że należała wówczas do Polski, nie miała z nią bezpośredniej granicy. Jadąc z Warszawy trzeba było przekroczyć dwie granice: polsko-pruską i prusko-warmińską. Oddzielał je wąski pas Prus Krzyżackich, a potem Książęcych – obszar między Butrynami a Nidzicą, zwany niekiedy „uchem igielnym”.

Rytuał wjazdu biskupa na ziemię warmińską był dość podobny przez 300 lat, choć nie zachowały się dokumenty opisujące wjazd każdego z biskupów. Nie wszyscy też wjeżdżali tą drogą. Z pojedynczych wzmianek można odtworzyć poszczególne etapy podróży i nastroje społeczne, które towarzyszyły biskupowi w miejscowościach, przez które przejeżdżał. Poniżej przedstawię jedynie te, które miały miejsce zaraz po przekroczeniu granicy, w miejscu, gdzie dzisiaj znajdują się tak zwane Wrota Warmii².

Orszak biskupi nadjeżdżał od strony Warszawy. Ostatnią miejscowością w granicach Prus Książęcych była wieś Bałdy. Znajdowała się tam karczma, w której niekiedy spali biskupi, jeszcze przed wjazdem na Warmię. Od strony wsi kościelnej Butryn – pierwszej wsi warmińskiej za granicą pruską – nadjeżdżającego biskupa oczekiwała na drodze delegacja kapituły.

Kiedy biskup nadjechał, schodził z powozu i witał się z kanonikami. Wszyscy gromadzili się przy krzyżu między Bałdami i Butrynami, tam też wygłaszano okolicznościowe przemówienia. W języku polskim lub łacinie mowę powitalną wygłaszał przedstawiciel kapituły a wójt krajowy (biskupi) w imieniu warmińskiej szlachty pozdrawiał nowego zarządcę w języku niemieckim. W uroczystości brali udział przedstawiciele szlachty, urzędników, mieszczanie ze wszystkich miast Warmii i żołnierze. Były to doborowe zastępy jazdy i piechoty wystawiane w ramach posług szarwarkowych. Do służby zbrojnej zobowiązani byli

chłopi, którzy musieli wystawić jednego żołnierza z dziesięciu łanów. Ponieważ chłopci warmińscy mieli z reguły po dwa łany, więc na ekwipunek takiego wojownika składało się pięciu gospodarzy. Ponadto do wystawienia zbrojnych zobowiązani byli wolni pruscy oraz sołtysi wsi. Cały orszak był bardzo kolorowy, szlachta bowiem była odświętnie ubrana i na koniach, a żołnierze nosili surduty czerwone (w domenie biskupiej) i niebieskie (w domenie kapitulnej). Przygotowania do powitania biskupa nie dotyczyły więc tylko duchownych, ale były ważnym wydarzeniem dla całej społeczności warmińskiej.

Po oficjalnym powitaniu biskup zapraszał kanoników do swojej sześciokonnej karety i wspólnie zmierzali do Butryn. Duchownym towarzyszył oddział rycerstwa (chorągwie wojsk biskupich) z komory olsztyńskiej liczący około 30 osób. Orszakowi towarzyszyły śpiewy, muzyka, niesiono chorągwie, a często nawet oddawano salwy armatnie z dział przywiezionych z zamku olsztyńskiego, by zaznaczyć, że biskup już wjechał w granice swojej diecezji.

W momencie wjazdu orszaku do Butryn bito w dzwony kościelne a przyjezdni przekraczali specjalnie na ten cel wybudowaną bramę, mającą symbolizować „Wrota Warmii”, przez które pasterz wkraczał do swego dominium. Na bramie umieszczano herby: Warmii, kapituły warmińskiej i biskupa. Wówczas śpiewano „Te Deum” i wkraczano do kościoła, gdzie nowy biskup uczestniczył w pierwszej na ziemi warmińskiej mszy św., lub też innym nabożeństwie kościelnym.

Następnie podejmowano biskupa i jego świtę obiadem na tutejszej plebani lub w karczmie w pobliskim Przykocie. Podczas obiadu przygrywała kapela prowadzana najczęściej z Olsztyna.

Po obiedzie i krótkim wypoczynku, ewentualnie noclegu w Przykocie lub dopiero w Barczewie, biskup ruszał w dalszą drogę w kierunku Lidzbarka. Jeżeli orszak biskupi zatrzymywał się na dłużej w Przykocie, urządzano wielką fetę dla miejscowej ludności. Na przykopskim polu stały przygotowane obszerne namioty, gdzie odbywała się uczta powitalna, a zgromadzona ludność mogła się pożywiać i bawić przy muzyce i kuglarzach do białego rana.

Drogą przez Bałdy i Butryny jechali najprawdopodobniej: Marcin Kromer, Andrzej Batory, Piotr Tylicki, Szymon Rudnicki, Mikołaj Szyszkowski, Jan Stefan

Wydźga, Michał Radziejowski, Jan Stanisław Zbąski, Teodor Potocki, Jan Szembek, Adam Stanisław Grabowski oraz Ignacy Krasicki. Bardzo malowniczo opisał uroczystość wjazdu biskupów na Warmię Władysław Ogrodziński dając wyobrażenie o doniosłości wydarzenia: „Rzadko – raz na całe lata – zdarzało się w XVII i XVIII wieku, że cisza purdzkich lasów pękała gwarem innym niż skrzypienie ładownych wozów czy leniwe człapanie koni. Szlakiem warszawskim ku pruskiej ścianie pędziły powózki i karoce, szli i jechali żołnierze, ciągnęły gromady ciekawego ludu. Między Butrynami po warmińskiej stronie, a Bałdami za pruską miedzą stał graniczny krzyż – pod krzyżem zbierali się ludzie. Ledwie rozjaśniało rano, od karczmy bałdańskiej podnosił się kurz i kolebiąc się w koleinach nadlatywała strojna karetka w otoczeniu gromady jezdnych. Pod krzyżem równano żołnierskie szeregi, słońce grało na sprężonych piersiach, tłum ciekawie wyciągał szyje. Do karety podchodzili warmińscy dostojnicy, a wójt i dowódca wojsk biskupstwa powitalną mową pozdrawiał przybysza w fioletach. Uderzały działa potrójnym salutem, lud na dany znak czynił krzyk wielki a doniosły”³.

W nielicznych źródłach i opracowaniach znajdujemy potwierdzenie wjazdu kilku biskupów:

„Biskup Szyszkowski [27. bp warmiński] wiosną 1634 roku przybył do diecezji. 30 marca na granicy Warmii, w Butrynach, uroczyste przywitani go delegacji kapituły: sufragan Działyński, prepozyt Rudnicki, kustosz Kobierzycki i kanonik Łukasz Górnicki. Po serdecznym przyjęciu w kościele butryńskim biskup udał się do Barczewa, a stamtąd do Lidzbarka”⁴. Proboszczem w Butrynach był wówczas ks. Georg Sosniowski i to on przygotował przyjęcie dla biskupa”⁵.

Biskup Michał Stefan Radziejowski (31. bp warmiński) „Warszawę opuścił w lipcu 1681 roku, 19 tego miesiąca stanął na granicy Warmii na polach wsi Przykop. Tutaj oczekiwało na niego pięć chorągwi wojska warmińskiego. W imieniu szlachty warmińskiej nowego biskupa witał mową niemiecką wójt krajowy i szambelan królewski Waclaw Stanisławski. W imieniu kapituły przywitani go kanonicy Zachariasz Szolc i Jan Wołowski. Ten pierwszy wygłosił mowę po polsku. Na noc biskup wraz z całą świtą zatrzymał się w Przykopie. Na drugi dzień, a była to niedziela, przyjechał do Butryn, gdzie w kościele parafialnym odprawił nabożeństwo z licznym udziałem



Stawianie krzyża na umownej granicy w Bałdach, wrzesień 2006 r. Źródło: www.wrotawarmii.pl

wiernych. Po nabożeństwie wyjechał do Barczewa”⁶. Proboszczem w Butrynach był w tym czasie Łukasz Krakowiński”⁷.

Z dzieła Eichhorna dowiadujemy się, że 15 kwietnia 1689 r. dotarła do Fromborka wiadomość, iż nowym biskupem ma zostać Jan Stanisław Zbąski (32 bp warmiński). Zaczęto przygotowania do uroczystego powitania, które odbyło się 12 maja. Na granicy biskupstwa witał go dziekan Stanisław Bużeński i kanonik Jan Wołowski. Biskup nadjechał o godz. 9.00 rano z położonej w pobliżu Bałd karczmy, gdzie nocował dnia poprzedniego. Było to jeszcze po stronie Prus Książęcych. W lesie, na drodze do Bałd, powitali go delegaci kapituły, licznie zgromadzona szlachta i urzędnicy. Dziekan Bużeński wygłosił mowę w języku polskim, a biskup odwzajemnił się życzliwym słowem. Następnie zaprosił obydwu kanoników do swojej karocy i przez miejscowość Bałdy udali się do Butryn. Tam odwiedzili kościół i pojechali dalej do Przykopu, gdzie czekał na nich posiłek. Na polach przykopskich czekali na nich przedstawiciele szlachty i straży biskupstwa warmińskiego. W ich imieniu przemówił w języku niemieckim wójt krajowy Woj-

Stawianie wrót,
wrzesień 2006 r.
Źródło:
www.wrotawarmii.pl



ciech Waclaw Stanislawski, właściciel Mołdyt i dóbr w powiecie reszelskim. Następnie przy towarzyszeniu salw armatnich odprowadzono biskupa do Barczewa, stąd do Jezioran i do Lidzbarka⁸.

Kolejnego biskupa Andrzeja Chryzostoma Załuskiego (33 bpa warmińskiego) na granicy w Bałdach witał proboszcz katedry Żurawski i kantor Kunigk, którzy zostali wytypowani przez kapitułę. Powitanie odbyło się 14 sierpnia 1699 roku⁹.

Podobne uroczystości miały miejsce przy powitaniu biskupa Jana Szembeka (35. bpa warmińskiego), który wjeżdżał w granice diecezji 29 listopada 1724 r., około godz. 15.00. U granic powitali go kustosz Michał Łaszewski i kanonik Ignacy Czarliński. Szlachta, urzędnicy i żołnierze zgromadzili się przy krzyżu między Bałdami i Butrynami. Oddano wówczas trzy salwy armatnie, następnie miały miejsce powitalne a po nich udano się do kościoła w Butrynach. Tam przemówił kustosz Łaszewski, odpowiedział mu biskup nominat i odśpiewano „Te Deum”. Następnego dnia odbyła się uroczysta msza św. (suma), po której na plebani w Butrynach biskup zjadł obiad i wyjechał do Barczewa, a dalej przez Jeziorany do Lidzbarka Warmińskiego¹⁰.

Na temat wjazdu biskupa Krasickiego przez Bałdy i Butryny także znajdujemy potwierdzenie w zachowanych źródłach. Z nich dowiadujemy się, że Ignacy Krasicki (37. bp warmiński) „wyruszył w drogę nazajutrz po imieninach króla, 9 maja 1767 r. Biskupów jadących od strony Warszawy pierwszy raz w diecezji warmińskiej zwykle witano w Butrynach i tym razem kapituła postanowiła uczynić tak samo.

Chciała wysondować, czy nowy biskup życzy sobie, aby kanonikom wyczekującym go na granicy towarzyszył zastęp rycerski”¹¹. W źródłach nie zachowało się potwierdzenie tej propozycji. Faktem jest jednak, że powitanie odbyło się przy udziale eskorty rycerskiej. Wiemy o tym z relacji, jaką zdali kapituła kanonicy w dniu 5 czerwca 1767 r., dopiero kiedy Krasicki po krótkim pobycie w Lidzbarku ponownie wyjechał do Warszawy. W protokole zebrań kapituły zapisano przebieg uroczystości w Butrynach¹²: „W imieniu kapituły biskupa witali prepozyt i sufragan w jednej osobie Karol Zehmen oraz kanonik Józef Benedykt Mathy. Towarzyszył im oddział z komory olsztyńskiej liczący trzydziestu sześciu rycerzy, którymi dowodził szlachcic [kapitan] Jan Karol Grzymała, właściciel dóbr Nikielkowo. Owi rycerze – to szlachta z komory olsztyńskiej, która z racji posiadanej ziemi była zobowiązana do służby zbrojnej na koniu. Kanonicy z całą świtą wyjechali naprzeciw Krasickiego na granicy diecezji kilka kilometrów od Butryn. Gdy zbliżał się pojazd biskupa, wyszli z wozu i oczekiwali stojąc na drodze. Biskup również wysiadł z pojazdu i po krótkim powitaniu zaprosił kanoników do swej karety i wspólnie dojechali do Butryn. We wsi ustawiono działa, z których oddano salut armatni. Następnie wszyscy udali się do kościoła na Mszę św. Potem na plebani sufragan Zehmen podejmował Krasickiego i całą świtę obiadem, po którym Krasicki odjechał przez Ramsowo do Barczewa, tutaj przenocował i następnego dnia przez Jeziorany dotarł do Lidzbarka”. Proboszczem w Butrynach był wówczas ks. Florian Bähr¹³.

Po zaborze Warmii w 1772 r. przywileje biskupstwa



Uroczystość otwarcia Traktu Biskupiego. Arcybiskup Wojciech Ziemia odślania swoją tabliczkę, na drugim planie arcybiskup senior Edmund Piszcz, 16 września 2006 r. Źródło: www.wrotawarmii.pl

zostały zabrane i powoli zapominano o rytuałach trwających tu przez wieki. Ludność coraz bardziej identyfikowała się z państwem pruskim i tylko w tradycji ludowej przetrwała pamięć o świetności biskupiej Warmii. Trakt funkcjonował jednak jako szlak komunikacyjny między Królestwem Polskim a ziemiami pruskimi. Tą drogą Polacy z Prus przerzucali broń i amunicję dla powstańców styczniowych, co również przetrwało w przekazach ustnych.

Dopiero w drugiej połowie XIX w. ksiądz Walenty Barczewski, działacz polski, etnograf, historyk, literat, wydawca czasopism i książek, a także proboszcz brąszewicki, przypomniał ten szlak w publikacji „Kiermasy na Warmii”. Za pierwsze wydanie uważa się cykl artykułów opublikowanych na łamach pelplińskiego „Pielgrzyma” z 1883 r., drugie wydanie to fragmenty „Kiermasów” publikowane w „Kurierze Poznańskim” w latach 1886-1888, a trzecie ukazało się jako książka w 1922 r. Do dnia dzisiejszego ukazało się siedem wydań, ostatnie w 2002 r. Barczewski pisał, że Warmię przecinały trzy trakty warszawskie. Pierwszy łączył Warszawę z Królewcem przez Wielbark, Szczytno, Dźwierzuty, Biskupiec i Iławkę Pruską. Dwa kolejne dotyczyły traktów biskupich. Jeden od Bałd i Butryn, przez Przykop, Nową Wieś, Patryki, Skajboty, Mokiny, Wartembork [Barczewo], Kronowo, Jeziorany do Lidzbarka; drugi zaś od Bałd i Butryn przez Jondorf [Jaroty, dziś dzielnica Olsztyna], Olsztyn, Dywity, Spręcowo, Gutsztat [Dobre Miasto] do Lidzbarka. Barczewski opisał także przywitanie biskupów zwracając uwagę,

że „wiele tu sobie jeszcze opowiadają o hojności i dobroci tych Panów jako też o wspaniałości i grzeczności ich orszaków. (...) Uroczę to były i niezapomniane chwile dla serc polskich Warmjan”¹⁴.

Tradycja ta przetrwała głównie w przekazach kościelnych. W 1889 r. kanonik warmiński Tomasz Treter do potężnego dzieła ks. Jana Leo, „Dzieje Prus”, wydanego w 1725 r. dopisał „Dalszy ciąg dziejów Prus o biskupstwie i biskupach kościoła warmińskiego”. Wzmiankował w nim, iż w 1681 r. Michał Stefan Radziejowski „do biskupstwa przybył tego roku w ostatnich dniach lipca. Zbliżającego się do granic biskupstwa pozdrowili: kustosz Zachariasz Jan Szolc i kanonik warmiński Jan Wołowski. Udający się na spotkanie za wieś kapitulną Butryny i życząc szczęśliwej podróży przeprowadzili przez Barczewo do Jezioran, a stąd do Lidzbarka”¹⁵.

Początek XX w. i okres poplebiscytowy nie sprzyjały kultywowaniu tradycji polskich. Ważyły się losy polskiej społeczności, a po przegranym plebiscycie, nadzieje na odrodzenie starych warmińskich zwyczajów znowu osłabły. Podobnie było po II wojnie światowej. Mimo że Warmia wróciła w granice Polski, nie było mowy o kultywowaniu tradycji kościelnych. Dwa totalitaryzmy XX w. – hitlerowski i stalinowski – skutecznie niszczyły warstwę kulturową ludności warmińskiej i mazurskiej. Zanikały zwyczaje i tradycje, a nieustanny konflikt na linii państwo-kościół nie sprzyjał reaktywowaniu starych zwyczajów. W okresie PRL-u synonimem ziem północno-wschodnich były

Wizyta kardynała
 Józefa Glempa na Trakcie
 Biskupim. Drugi od lewej
 stoi nuncjusz apostolski
 abp Józef Kowalczyk,
 następnie
 abp Wojciech Ziemba,
 prymas Polski
 Józef kard. Glemp,
 senator RP rektor UWM
 Ryszard Górecki,
 organizator uroczystości
 Edward Cyfus,
 17 maja 2007 r.
 Źródło:
 www.wrotawarmii.pl



przede wszystkim Mazury, jako Kraina Tysiąca Jezior i wspaniałe miejsce wypoczynku dla Polaków. Warmia jakby nie istniała.

Dopiero w ostatnich latach zauważa się odrodzenie warmińskości, jako przejaw tożsamości lokalnej. Od początku lat 90. XX w. popularyzuje się gwara warmińską, powstają mapy województwa z zaznaczonymi granicami historycznej Warmii, wydaje się słowniki Warmii i książki o Warmiakach. W ten nurt wpisuje się też reaktywowanie szlaku biskupiego, który kojarzony jest z Wrotami Warmii.

Inicjatorem uczynienia z traktu atrakcji turystycznej i wpisania go na listę dziedzictwa kulturowego gminy Purda, a szerzej powiatu olsztyńskiego, a nawet całego województwa warmińsko-mazurskiego, był rodowity Warmiak, autor książek o Warmiakach i gadek warmińskich, inspektor ds. promocji i kultury w gminie Purda – Edward Cyfus. To on zainteresował traktem Nadleśnictwo Jedwabno, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Stowarzyszenie „Baby Pruskie” oraz samych mieszkańców Butryn, dzięki którym trakt został przepięknie odrestaurowany.

Po dwustu latach przerwy, czyli od czasów bpa Ignacego Krasickiego, 16 września 2006 r. odnowiono tradycję pobytu biskupów na alei lipowej. Arcybiskup warmiński Wojciech Ziemba wraz z abp. seniorem Edmundem Piszczem witani byli przy ogromnym krzyżu na granicy Mazur i Warmii. Potem przekroczyli symboliczne Wrota Warmii i posadzili nowe drzewa, przedłużając żywot i nadając nowy sens tej histo-

rycznej alei. Atmosferę tego miejsca tworzą ogromne wrota, kilkusetletnie drzewa, przy których widnieją tabliczki i głazy poświęcone pięćdziesięciu warmińskim biskupom i pozostałości ogrodzonego cmentarza poewangelickiego. Spacerując tym szlakiem, czytając tablice informujące o historii Warmii i traktu, zatrzymując się przy poszczególnych tabliczkach lub głazach biskupich, przysiadając na chwilę na ławeczce, można zadumać się nad pojęciem „Święta Warmia”, o którym wspominał Jan Paweł II, a które opisał i wyjaśnił młody warmiński historyk Szymon Drej¹⁶.

Tradycja traktu biskupiego zaczęła już żyć swoim życiem. 17 maja 2007 r. były warmiński biskup, dziś prymas Polski kardynał Józef Glemp uroczystie zasadził drzewko obok swojej tabliczki. Uroczystość tę uświetnił swoją obecnością abp Józef Kowalczyk, nuncjusz papieski w Polsce, odsłaniając pięćdziesiątą pierwszą tablicę poświęconą bp. Tomaszowi Wilczyńskiemu, który co prawda nie był biskupem warmińskim, jednak przez dziewięć trudnych powojennych lat (1959-1968) administrował naszą diecezją.

Trakt biskupi na Warmię stał się inspiracją do zorganizowania cyklicznej imprezy pod nazwą „**Wrota Warmii – Warmiński Kiermas Tradycji, Dialogu i Zabawy**”. **Kiermas to** uroczystość odpustowa na Warmii mająca swe korzenie w końcu XVIII w. Na kiermas zjeżdżali krewni i znajomi z okolicy. Po nabożeństwie udawali się na biesiadę do rodziny, która mieszkała w miejscowości, gdzie odbywał się odpust. Spotkania były okazją do wymiany poglądów

na tematy polityczne i gospodarcze; jednoczyły społeczność warmińską wokół tradycyjnych zwyczajów, wzmacniały też więzi z Kościołem katolickim. Kiermasy były zaczynem tradycji warmińskiej i sprzyjały zachowaniu obyczajów przodków¹⁷.

I Warmiński Kiermas odbył się 5 lipca 2008 r. Po uroczystej mszy w Butrynach w dostojnym orszaku na Warmię wjechał biskup Hozjusz, za którego przebrany był Marian Czarkowski, aktor olsztyńskiego teatru im. Stefana Jaracza. Po powitaniu przez władze regionu dostojnik wziął udział w uroczystości odsłonięcia na trakcie pięciu głazów upamiętniających biskupów warmińskich. Na kiermasie zjawili się ponad 60 wystawców oraz kilka tysięcy mieszkańców regionu i turystów. Prezentowały się też różne warmińskie samorządy, nie brakło rzemiosła, sztuki i kulinariów warmińskich. Nie zabrakło też salw armatnich i beczek z miodem, występów ludowych, recitalu Krzysztofa Daukszewicza, Czerwonego Tulipana i zespołu Zbigi Band. Całość zakończył imponujący pokaz sztucznych ogni. Obok czysto „kiermasowych” przyjemności miłośnicy Warmii mogli zdobyć autografy od znanych lokalnych pisarzy i historyków oraz posłuchać „warmińskiego godania” Edwarda Cyfusa i Łukasza Rucha¹⁸.

Kolejne kiermasy odbywać się będą każdego lata, ale trakt biskupi jest czynny przez cały rok. Przedłużeniem alei historycznej jest dydaktyczna ścieżka przyrodnicza, na której Nadleśnictwo Jedwabno ustawiło tablice informujące o faunie i florze tego miejsca. Biorąc to wszystko pod uwagę niewątpliwie jest to idealne miejsce do prowadzenia zajęć edukacyjnych zarówno z dziećmi, jak i młodzieżą szkolną. Ośrodek Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Bałdach oferuje chętnym przejażdżki w siodle, bryczkami lub wozami dla turystów indywidualnych i większych grup. Można też pobierać lekcje jazdy konnej w tutejszej, uniwersyteckiej stadninie.

Reaktywacja dziedzictwa historycznego poprzez ożywienie miejsca w krajobrazie i przypisanie mu pewnych wydarzeń i osób jest bardzo dobrym przykładem na kształtowanie świadomości historycznej i regionalnej a także uwrażliwienie mieszkańców na spuściznę kulturową małej ojczyzny. Należy przy tym zwrócić uwagę, że historia traktu biskupiego nie ogranicza się jedynie do kilkunastu biskupów zarządzających diecezją w tak zwanym polskim

okresie dziejów Warmii. Rozpoczyna go bowiem bp Anzelm, jedyny biskup warmiński wywodzący się z zakonu krzyżackiego, znajdują się tu również biskupi niemieccy, którzy nie zawsze byli przyjaźnie nastawieni do polskiej społeczności. W dzisiejszych czasach wartością jest poszukiwanie wspólnego dziedzictwa, które z pewnością przyczynia się do wzajemnego szacunku dla miejsca, w którym możemy żyć i pracować z korzyścią dla nas samych i następnych pokoleń.

¹ I. Lewandowska, E. Cyfus, *Reaktywacja dziedzictwa kulturowego. Czy to możliwe?*, „Przegląd Turystyczny” 2007, nr 60, s. 11-12.

² A. Szorc, *Ingresy biskupów warmińskich*, w: *Obchody rocznicowe i świąteczne*, z serii: „Życie codzienne na dawnych ziemiach pruskich”, red. S. Achremczyk, Olsztyn 2004, s. 14-19; E. Cyfus, Sz. Drej, M. Szymkiewicz, *Traktem biskupów warmińskich*, Olsztyn 2006; J. Osmólski, J. Sikorski, *Gmina Purda. Studium ochrony wartości kulturowych*, Warszawa-Olsztyn 1999, maszynopis w posiadaniu autorki; tekst referatu wygłoszonego przez dyrektora Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie, ks. prof. Andrzeja Kopiczkę na otwarciu alei biskupów, Butryny, lato 2006 r., maszynopis w posiadaniu autorki.

³ W. Ogrodziński, *Szkice warmińskie*, Olsztyn 1998, s. 49.

⁴ D. Bogdan, *Mikołaj Szyszkowski*, w: *Poczet biskupów warmińskich*, red. S. Achremczyk, Olsztyn 2008, s. 233.

⁵ Die Erstbegrüßungen ermländischer Bischöfe an der Grenze der Diözese Ermland im Grenzort Balden-Baldy Kirchspiel Wuttrienen-Butryny, Kr. Allenstein aus „Geschichte der erml. Bischofswahlen“ von Domcapitular Dr. Anton Eichhorn (1809-1856). Cyt. za: „39. Heimat-Jahrbuch der Kreisgemeinschaft Allenstein-Land e.V., Weihnachten 2008”, s. 22.

⁶ S. Achremczyk, *Michał Stefan Radziejowski*, w: *Poczet biskupów...*, s. 278.

⁷ Die Erstbegrüßungen ermländischer Bischöfe..., s. 22.

⁸ Tamże, s. 23.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże, s. 24.

¹¹ Debata kapituły nad sposobem powitania Ignacego Krasickiego, 2 V 1767 r. Oryginalny protokół posiedzenia kapituły: AAWO, AK, Acta Cap. 19, s. 446-447. Cyt. za: *Ignacy Krasicki na Warmii 1766-1772. Przekazy źródłowe*, cz. 1: 1766-1768, oprac. A. Szorc, s. 13.

¹² Relacja z powitania Krasickiego w Butrynach przedstawiona na posiedzeniu kapituły, 5 VI 1767 r. Oryginalny protokół posiedzenia: AAWO, AK, Acta Cap. 19, s. 451-452. Cyt. za: *Ignacy Krasicki na Warmii...*, s. 13.

¹³ Die Erstbegrüßungen ermländischer Bischöfe..., op.cit. s. 25.

¹⁴ W. Barczewski, *Kiermasy na Warmii*, postłowie, noty, słowniczek, wykaz nazw miejscowości J. Chłosta, wyd. 7, Olsztyn 2002 r., s. 13-14.

¹⁵ J. Leo, *Dzieje Prus*, z braniewskiego wydania roku 1725 przełożył bp Julian Wojtkowski, Olsztyn 2008, s. 542.

¹⁶ Sz. Drej, *Święta Warmia*, Olsztyn 2007 r..

¹⁷ J. Chłosta, *Słownik Warmii (historyczno-geograficzny)*, Olsztyn 2002 r., s. 166-167.

¹⁸ www.wrotawarmii.pl

W ojczyźnie przodków. Australijscy potomkowie emigrantów ze Środkowego Nadodrza

„W ostatnich latach cały nasz kontynent dotykają poważne susze. Kiedy Australia stanie się na dobre pustynią – powrócimy tu, nad Odrę, do kraju przodków” – zażartował niedawno zaprzyjaźniony Australijczyk. Jakkolwiek zaskakująco to może zabrzmieć, to jednak rzeczywiście na antypodach żyją liczni potomkowie migrantów pochodzących ze Środkowego Nadodrza.

Początek tej emigracji dała grupa około 200 luteranów pochodzących z okolic Sulechowa (Züllichau), m. in. z Klepska (Klemzig), Okunina (Langmeil), Kijów (Kay), Karczyna (Harthe), Kiełcza (Keltschen), czy Trzciela (Tirschtiegel), którzy w 1838 r. z powodów religijnych opuścili swą ojczyznę. Uciekali oni przed prześladowaniami, jakie dotknęły ich w wyniku konfliktu z królem. Fryderyk Wilhelm III (1797-1840) dążył bowiem do utworzenia kościoła państwowego, łączącego luteranów i kalwinistów. Tych luteranów, którzy nie chcieli przystąpić do kościoła zjednoczonego, nie godzili się na ingerencję władzy świeckiej w ich wyznanie i pragnęli pozostać przy dawnych obrządkach, spotykały szykany i dyskryminacja. Gdy w 1837 r. została wydana generalna zgoda na emigrację, rozpoczęło się masowe wychodźstwo prześladowanych luteranów – głównie do Stanów Zjednoczonych, ale niewielka grupa zdecydowała się wyruszyć do Australii. Choć po śmierci króla Fryderyka Wilhelma III prześladowania ustały, motyw religijny był wykorzystywany również później. Pierwsza grupa uchodźców z 1838 r. to tzw. ludzie Kavela – pastora z Klepska, który przez kilka lat w Hamburgu i Londynie organizował wyjazd dla swych parafian, a potem wraz z nimi osiedlił się w Południowej Australii. W latach 1841, 1844, 1845 w ich ślady poszli mieszkańcy dalszych miejscowości powiatu sulechowskiego (Züllichau), a także luteranie z powiatu zielonogórskiego (Grünberg), którym przewodził pastor Gotthard Daniel Fritzsche oraz m. in.: babimojskiego (Bomst), międzyrzeckiego (Meseritz) i krośnieńskiego (Cros-

sen). Z czasem argument religijny stracił swe znaczenie i od końca lat czterdziestych XIX w. aż do wybuchu I wojny światowej rzeczywistym powodem wyjazdów była chęć poprawy warunków ekonomicznych i dołączenie do krewnych, którzy wyemigrowali wcześniej. Rozszerzaniu się tego ruchu wędrownego sprzyjało zjawisko tzw. migracji łańcuchowej – osiedleni już wcześniej w Australii pomagali sprowadzić do siebie innych członków rodziny oraz przyjaciół¹. Szacuje się, iż łącznie z krajów niemieckich od 1838 do 1914 r. przybyło do Australii Południowej około 18 tysięcy osadników, z tej liczby zaś ponad 6 tysięcy pochodziło z terenów nad środkową Odrą².

W XIX w. przeważającą większość mieszkańców Środkowego Nadodrza (był to wówczas region graniczny między trzema pruskimi prowincjami: Brandenburg, Schlesien i Posen) stanowili mówiący po niemiecku protestanci, choć byli wśród nich także przedstawiciele społeczności łużyckich i polskich (w większości katolicy). Bardziej znaczące grupy Polaków wyemigrowały z okolic Dąbrówki Wlkp. (Gross Dammer), Zbąszynia (Bentschen), Babimostu (Bomst) i Paradyża (Paradies) w latach 1844 i 1856. Emigranci polskiego pochodzenia byli założycielami pierwszego polskiego kościoła w Australii (p.w. św. Stanisława Kostki w Hill River) i pierwszej polskiej szkoły, z czasem jednak rozproszyli się i zatracili poczucie odrębności narodowej. W 1924 r. zamknięto szkołę, a w 1950 r. dekonsekwrowano kościół. W latach siedemdziesiątych XX w. dzięki zaangażowaniu Polonii australijskiej rozpoczęto renowację kościoła i szkoły, a obecnie mieści się tam niewielkie muzeum poświęcone pierwszemu polskiemu osadnikom.

Większość niemieckich emigrantów ze Środkowego Nadodrza osiedlała się początkowo przede wszystkim w Południowej Australii, choć część z nich zamieszkała również w stanie Victoria oraz w Nowej Południowej Walii. Ich potomkowie to obecnie znacząca społeczność Australii, świadoma swej

tożsamości i niemieckiego dziedzictwa kulturowego – odrębnego od anglosaskiej większości. Dodatkowe znaczenie i wartość konsolidującą ma fakt, iż emigranci z Klemzig i ich następcy przenieśli na kontynent australijski swoją wiarę stając się założycielami Kościoła luterńskiego w Australii. Ten po dziś dzień niezwykle aktywny Kościół integruje i spaja społeczności potomków pruskich imigrantów.

Od lat osiemdziesiątych XX w. dość powszechne w Australii stało się zainteresowanie historią rodzin. Po około 150 latach czwarte, czasem nawet piąte pokolenie potomków pionierskich imigrantów, rozpoczęło poszukiwania genealogiczne. Wtedy też, przed około 20 laty, zaczęli oni przyjeżdżać do Polski w poszukiwaniu korzeni. W licznie wydawanych monografiach rodzin można natknąć się niekiedy na wrażenia, jakie odnosili przybywając do małych miast i wiosek, tak odmiennych od krajobrazu, który znali. Oprócz szarżyzny, niekiedy nieporządku i biedy, spotykali miejscową ludność, z którą ze względu na różnice językowe trudno było im się porozumieć. Mieszkańcy tych miejscowości przyglądali się im z dużą nieufnością: o ile z niepokojem, ale ze zrozumieniem obser-

wowali odwiedzających ich wioski i miasta Niemców, to pojawiający się coraz częściej i szukający starych cmentarzy Australijczycy wzbudzali jeszcze większą podejrzliwość. Niewielu wiedziało, co ich sprowadza do Polski. Jednak przez ostatnie kilkanaście lat, kiedy przyjazdy potomków stały się coraz częstsze, zaczęło się również pojawiać zainteresowanie i życzliwość ze strony lokalnych mieszkańców – pomagali oni Australijczykom odnaleźć szukane gospodarstwa, udostępniali kościoły i próbowali wskazać miejsce dawnych cmentarzy. Obecnie wiedza polskich mieszkańców o emigracyjnym epizodzie w historii regionu jest coraz bardziej powszechna. Przyczyniły się do tego zarówno wizyty Australijczyków, jak i zmiana w świadomości dzisiejszych mieszkańców dawnych pruskich miejscowości – zmieniło się nastawienie do niemieckiej przeszłości: niechęć czy obojętność zastępowane są stopniowo przez zainteresowanie historią tych ziem i losami ich dawnych mieszkańców.

Jednym z mierników zmiany postaw może być również stosunek lokalnej społeczności do poniemieckich cmentarzy. Wprawdzie część z nich już nie istnieje, zostały zlikwidowane wiele lat temu, część



Tablica informacyjna w Bethany, Południowa Australia. Napis: „Najstarsze niemieckie osiedle w Dolinie Barossy”, fot. A. Kalleske



Kościół w australijskim Gruenberg, fot. A. Kalleske

Cmentarz pionierów
w Bethany. Nagrobek
rodziny Nitschke
- emigrantów
z miejscowości Jany,
fot. A. Kalleske



jest zaniedbana i znajduje się w bardzo złej kondycji, ale są też przykłady, kiedy obecni mieszkańcy tworzą symboliczne miejsca pochówku, przenosząc kamienie nagrobne ze zdewastowanych cmentarzy w jedno miejsce, bądź oznaczają miejsce dawnego cmentarza. Są też przykłady odnawiania i ochrony dawnych ewangelickich cmentarzy przez lokalną społeczność (np. w Wielkopolsce bardzo pręźnie działający Komitet Renowacji Cmentarzy Olęderskich w Nekli), co szczególnie doceniają przybywający aż z Australii potomkowie.

Istotne znaczenie dla rozpropagowania wiedzy na temat „rodzimych” emigrantów miała zorganizowana w 2007 r. przez Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze wystawa czasowa poświęcona XIX-wiecznej emigracji z terenów obecnej Ziemi Lubuskiej do Australii zatytułowana „Między obawą a nadzieją...”. Co ciekawe, choć skierowana ona była do lokalnej społeczności, zainteresowanie nią wyraziła także strona niemiecka – wystawa została w 2008 r. zaprezentowana w Haus Brandenburg w Fürstenwalde w Niemczech. Ekspozycja odbiła się również szerokim echem w Australii, a informacja o tym projekcie została tam przyjęta z dużym entuzjazmem.

Podczas pracy nad przygotowaniem ekspozycji udało się nawiązać wiele cennych kontaktów nie tylko z potomkami emigrantów, lecz także z archiwami, bibliotekami i muzeami australijskimi dysponującymi bogatymi zbiorami dotyczącymi migrantów.

Szczególnie wart podkreślenia jest fakt, iż w trakcie trzymiesięcznej prezentacji wystawę przyjechało zobaczyć kilkanaście australijskich rodzin, co – zważywszy na odległość – jest niemało. Świadczy to o dużym zainteresowaniu przeszłością ich przodków, historią regionu, z którego pochodzili oraz gotowością potomków do nawiązywania kontaktów ze współczesnymi mieszkańcami tych ziem - w pewnym sensie spadkobiercami dziedzictwa i kulturowego krajobrazu ich pradziadów. Mówiąc zaś o dziedzictwie i krajobrazie kulturowym należy pamiętać, iż jest to kolejny element na swój sposób łączący obecnych i dawnych mieszkańców. Migranci po przybyciu do nowej ojczyzny musieli zaczynać życie zupełnie od nowa, niekiedy osiedlali się w już istniejących miejscowościach, ale zakładali również swoje całkiem nowe osady, nazywając je niekiedy jak miejsca, z których pochodzili (np.: Klemzig, Langmeil, Gruenberg). Przez długi czas Dolina Barossy (region, gdzie licznie osiedlili się pruscy imigranci) określana była przez tęskniących za rodzinną ziemią osadników jako Neu Schlesien (Nowy Śląsk). Domy, układ gospodarstw, rozplanowanie wsi, budowa narzędzi i sprzętów, przygotowanie ziemi pod uprawę, wznoszone kościoły, system szkolnictwa, a nawet kuchnia – wszystko to opierało się na modelu, jaki przywieźli z ojczyzny i odróżniało wyraźnie od angielskich wzorów ich sąsiadów. Stąd też nadal spotyka się w Australii domy czy kościoły bardzo podobne do tych, które



Widowisko historyczne
– wyjazd z Klepska do
Cigacic, lipiec 2008,
fot. A. Maksymowicz



Widowisko historyczne
– w porcie w Hamburgu,
lipiec 2008,
fot. A. Maksymowicz

znajdują się w obecnie polskich miejscowościach, a które stawiane były jeszcze przez Niemców. Równie bliskie wydają się nam dzisiaj niektóre potrawy południowoaustralijskiej kuchni, w której anglosascy sąsiedzi niemieckich potomków zachwycają się obcymi w ich tradycji ... kiszonymi ogórkami, strudlem czy rosółem z makaronem. Innym częściowo zachowanym elementem kultury niemieckich osadników jest język. Pod koniec XIX w. niemiecka społeczność w Australii walczyła o wprowadzenie języka niemieckiego jako drugiego języka urzędowego ze

względu na jego szerokie użycie. Planów tych nigdy nie zrealizowano, gdyż w reakcji na wybuch I wojny światowej rozpoczęła się w Australii dyskryminacja obywateli pochodzenia niemieckiego. Wówczas też wiele nazw miejscowości, pierwotnie niemieckich, zostało zastąpionych przez nazwy angielskie lub aborygeńskie. Część oryginalnych nazw przywrócono w 1935, część w latach siedemdziesiątych XX w., a do części z nich nigdy już nie powrócono. Jednak wpływ języka niemieckiego, choć nie jest on dziś powszechnie znany, przetrwały, i to nie tylko w nazwach

niektórych miejscowości, ale też w nazwiskach oraz w języku potocznym (tzw. Barossa Deutsch).

Wspomnieć w tym miejscu należy ponadto - choć temat zasługuje na osobne opracowanie - o światowym sukcesie australijskiego winiarstwa, którego korzenie (również dosłownie) sięgają Środkowego Nadodrza. Wszystko to są dowody na trwanie i łączność tradycji miejsca, mimo ogromnej odległości i upływu ponad 150 lat.

Wspomniana wyżej ekspozycja stała się też przyczynkiem do kilku niecodziennych spotkań - w polskim muzeum, na wystawie o udających się do Australii pruskich emigrantach, spotykały się dwie gałęzie rodzin: australijscy potomkowie emigrantów poznawali niemieckich potomków tych, którzy pozostali w kraju³. Dla tych dalekich krewnych, którzy znali się wcześniej wyłącznie z korespondencji, spotkania te miały symboliczną wręcz wymowę.

Podobne emocje spotykają uczestników wyjazdów do Polski organizowanych od kilkunastu lat przez jedno z australijskich biur podróży. W ramach tych wycieczek Australijczycy odwiedzają miejscowości swoich przodków - tura jest inna każdego roku, zawsze dostosowana do życzeń uczestników. Podobnie jak indywidualni turyści, tak i te zorganizowane grupy poszukują śladów swych pradziadków. Niejednokrotnie zdarza się, iż podczas odwiedzin w danych miejscowościach dochodzi do spotkań Australijczyków, Niemców i Polaków w ponemieckich domach u polskich gospodarzy. Dzieje tych ziem przestają być „podzielone”, rozumiane tylko jako część historii Niemców lub Polaków - stają się jednolitą historią regionu i jego mieszkańców.

Wspaniałym przykładem zainteresowania, a nawet utożsamiania się z dawnymi mieszkańcami regionu było widowisko historyczne „Emigracja z Kłępska i okolic do Australii w 1838 r.” w wykonaniu lokalnej społeczności. Odkryło się ono 5 lipca 2008 r. w Kłępsku i Cigacicach. Pomysłodawcą wydarzenia był ks. Olgierd Banaś z parafii w Kłępsku, a współorganizatorami byli przedstawiciele Domu Kultury w Sulechowie, Urzędu Miasta i Gminy w Sulechowie oraz Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. W widowisku wzięło udział ponad 120 kłępszczań i mieszkańców okolicznych wiosek, którzy przebrani w dawne stroje, ze starymi walizkami i tobołkami rozpoczęli widowisko nabożeństwem w kościele w Kłępsku, następnie wsie-

dli na zaprzęgnięte w konie wozy i z Kłępska, przez Sulechów udali się do Cigacic. Jadący tamtędy akurat kierowcy samochodów nie kryli zdumienia, gdy mijali kolumnę ponad 10 wozów z ludźmi wyglądającymi jakby przybyli z innych czasów. Po drodze zadbano także o szczegóły - już w przeddzień przy wjazdach do miejscowości umieszczono tablice z ich dawnymi nazwami Klemzig, Züllichau, Tschicherzig. Doprowadziło do zabawnych sytuacji, gdyż Urząd Gminy odebrał kilkanaście telefonów od zaniepokojonych lub oburzonych „niewtajemniczonych” mieszkańców, którzy żądali odzewu Urzędu na tę „reakcyjną” działalność. Potem, już w Cigacicach (które odgrywały podwójną rolę - portu Tschicherzig i portu w Hamburgu) inscenizowano wypłynięcie emigrantów do Hamburga, a następnie do Australii.

Było to wyjątkowe wydarzenie. Rekonstrukcje historyczne stają się w Polsce coraz bardziej popularne (m. in. rekonstrukcje bitwy pod Grunwaldem, bitwy nad Bzurą, pod Olszynką Grochowską czy walk podczas Powstania Warszawskiego), ale widowisko w Kłępsku wyróżniał fakt, iż nie było ono poświęcone Polakom, lecz opowiadało historię Niemców, a wspólne było tylko miejsce. Pomysł widowiska, a przede wszystkim udział w nim polskich mieszkańców doceniono także w Australii, gdzie również zauważa się zmianę nastawienia Polaków do historii Niemców zamieszkujących niegdyś Środkowe Nadodrze.

Przyjazdy potomków emigrantów, wystawy, prezentacje czy w końcu polsko-niemiecko-australijskie spotkania tworzą swego rodzaju kłamrę, która spina wydarzenia sprzed ponad 170 lat z teraźniejszością. Sprawia ona, że dla współczesnych mieszkańców Środkowego Nadodrza Australia nie jest już tylko dalekim egzotycznym krajem, lecz stała się miejscem bliższym, miejscem, gdzie żyją potomkowie ludzi z sąsiednich miejscowości. Dla zainteresowanych Australijczyków i Niemców jest zaś powodem pozytywnego zaskoczenia wagą, jaką polscy mieszkańcy zaczynają przywiązywać do dziejów niemieckich ewangelików. W ten sposób temat emigracji, której nieodłączną cechą jest rozdzielenie, staje się mostem łączącym dwa wyznania, trzy narodowości i trzy kraje.

¹ Więcej o przyczynach i przebiegu emigracji ze Środkowego Nadodrza do Australii m. in. J. Wąsicki, *Emigracja Polaków z pogranicza do Australii*, „Przegląd Lubuski” 1980 nr 3; M. Pohl, *Emigracja ze Zbąszczyńia i okolicy do Australii*

w XIX wieku, w: *Szkice Zbąszyńskie. Materiały z historii i kultury Zbąszynia i regionu*, red. Z. Matuszewski, Zielona Góra 1984; J. Lencznarowicz, *Diaspora polska w Australii*, w: *Polska diaspora*, red. A. Walaszek, Kraków 2001; A. Maksymowicz, *Emigracja religijna z powiatu zielonogórskiego do Południowej Australii w latach 1838 – 1844*, „*Studia Zielonogórskie*”, t. 12, red. A. Toczewski, Zielona Góra 2006; A. Maksymowicz, *XIX-wieczna emigracja z powiatu zielonogórskiego do Australii - jej przyczyny i przebieg oraz początki osadnictwa w nowym kraju*, w: *Zielona Góra na przestrzeni dziejów. Przemiany społeczno-kulturowe*, red. D. Kotlarek, P. Bartkowiak, Zielona Góra 2007; A. Maksymowicz, *Badania nad strukturą demograficzną i społeczno-zawodową emigracji ze Środkowego Nadodrza*

do Południowej Australii w XIX wieku, „*Zielonogórskie Zeszyty Muzealne*”, t. 7., red. A. Toczewski, Zielona Góra 2008.

² Por.: D. R. Love, D. I. Love, *The Linke Families in Australia 1838-1980*, Adelaide 1980, s. 29.

³ Mimo, iż większość emigrantów wyjeżdżała całymi rodzinami, jednak dochodziło także do rozbicia rodzin – niekiedy ktoś nie otrzymał zezwolenia na wyjazd i musiał pozostać, kiedy indziej zaś po prostu nie chciał emigrować. Najczęściej rodziny traciły wówczas stopniowo kontakt ze sobą i dopiero współczesne możliwości (m.in. internet) pozwoliły na odbudowanie rodzinnych powiązań.

ANDRZEJ SAKSON

Upamiętnienia I wojny światowej na Warmii i Mazurach

Ofensywa wojsk rosyjskich w sierpniu 1914 r. w Prusach Wschodnich (m.in. wygrane przez Rosjan bitwy pod Stołupianami oraz pod Gąbinem) doprowadziła do ponad półrocznej okupacji większości prowincji. Był to jedyny obszar Rzeszy objęty bezpośrednimi działaniami wojennymi podczas I wojny światowej.

W obawie przed „kozackim terrorem”, w dwóch falach ucieczki: letniej (od połowy sierpnia 1914 r.) oraz zimowej (w listopadzie tego samego roku) swe domostwa opuściło na dłużej lub krócej, kryjąc się w lasach, pobliskich wioskach itp., około 800 tys. osób. Ponad 13 tys. osób, głównie kobiet i dzieci, zesłanych zostało na Syberię. Tylko niewielu z nich powróciło. Powszechna była atmosfera strachu i zagrożenia. Poważnemu zniszczeniu uległo 39 miast i 1900 wsi, spłonęło 40 tys. budynków, 60 tys. zostało uszkodzonych, a 80 tys. mieszkań zostało splądrowanych. Zarekwirowano majątek ruchomy na ogromną skalę. Ogół strat szacowano na około 1,5 mld marek.

W wyniku niemieckiego zwycięstw pod Olsztynkiem/Tannenbergiem (w bitwie trwającej od 23 do 31 sierpnia 1914 r. uczestniczyło 153 tys. żołnierzy niemieckich z 8. Armii oraz 191 tys. żołnierzy z rosyjskiej Armii „Narew” i „Niemen”), nad jeziorami mazurskimi we wrześniu 1914 r. oraz podczas tzw. bitwy zimowej z 2 lutego 1915 r., pokonane oddziały rosyjskie wyco-

fały się w marcu 1915 r. z Prus Wschodnich. Ostatnie starcie miało miejsce 17 marca 1915 r. w Kłajpedzie. Po zajęciu miasta przez Rosjan i po czterech dniach okupacji wojska rosyjskie ostatecznie wycofały się z terenu Prus Wschodnich. Łącznie w czasie działań wojennych na tym obszarze w latach 1914-1915 poległo ponad 61 tys. żołnierzy, w tym 27 tys. Niemców, 32 tys. Rosjan oraz żołnierze innych narodowości.

W Prusach Wschodnich powstało około 2 200 cmentarzy wojennych, w tym 1 700 cmentarzy bezpośrednio na polu bitew. Pozostałe to cmentarze przy szpitalne i jenieckie. Łącznie w Prusach Wschodnich znajdowało się 13 cmentarzy, na których spoczywało ponad 500 żołnierzy (m.in. w Orłowie, pow. nidzicki – 1 425 pochowanych), 126 cmentarzy, gdzie spoczywało od 100 do 500, 256 cmentarzy od 20 do 100 oraz 1 700 pojedynczych mogił, gdzie pochowano od 1 do 20 żołnierzy.

W każdej miejscowości lub parafii (niezależnie od wyznania), po zakończeniu I wojny światowej umieszczono specjalne tablice z wykazem osób z danej miejscowości (parafii), które poległy „jako bohaterowie” na różnych frontach (np. napis na tablicy pamiątkowej w Jerutkach głosi: „Unsern Gefallenen Helden im Weltkrieg 1914-1918 zur Ehren”). Na tablicy pamiątkowej umieszczano także nazwiska osób cy-

wilnych, które poległy w okolicy (jeśli takie przypadki miały miejsce, np. „Am Orte durch den Feind ums leben gekommen” – Jerutki). Tablice z nazwiskami umieszczano wewnątrz kościołów, na jego zewnętrznych murach, obok kościołów, w obrębie cmentarzy, w centralnym miejscu danej miejscowości itp. Były to najczęściej specjalne tablice z listą nazwisk, umieszczo-



Kriegerdenkmal przerobiony na kapliczkę cmentarną, Pasłęk.
Fot. M. Tujdowski, 2008

Pomnik żołnierzy poległych w I wojnie światowej; zawiera klasyczne elementy takie jak cokół z polnych niepolerowanych kamieni, motyw żelaznego krzyża, tablica z nazwiskami poległych przymocowana do głazu.

Niebrzydowo Wielkie,
gm. Morąg
Fot. M. Tujdowski, 2008



wione często na dużych głazach narzutowych bądź specjalnych pomnikach, z reguły ozdobione symbolem krzyża żelaznego, hełmu lub liści dębu. Symbolika ta nawiązywała do starogermańskiej tradycji czczenia bohaterskich wojowników.

Cmentarze wojenne tworzone były często jako odrębne założenia architektoniczne. Umiejętnie wkomponowane w krajobraz i otoczone przyrodą znajdowały się na wzgórzach i ich stokach, nad jeziorami czy też w lesie, oddalone od miejscowości. Stosowne instrukcje wydawane przez władze zalecały prostotę form budowlanych i roślinnych. Mury nie wyższe niż jeden metr miały być wykonane z polnych kamieni, odradzano używania polerowanych kamieni, marmuru, cokołów betonowych itp. Dążono do ascetycznej prostoty. Często jednak nie przestrzegano tych wytycznych.

Ich budowa pełniła szereg funkcji, w tym m.in. świadczyła o symbolicznym panowaniu. Charakterystyczne w tym względzie jest założenie parkowo-cmentarno-sportowe w Borkach Wielkich (powiat Szczytno). Składało się ono z trzech części: „gaju bohaterów” z centralnie umiejscowioną lipą i otaczającymi ją 22 dębami symbolizującymi liczbę poległych żołnierzy, właściwego cmentarza przedzielonego w środku aleją oraz placu defiladowo-sportowego wraz ze sceną upamiętniającą zwycięstwo plebiscytowe z 1920 r. Za sceną posadzono „pamiątkowy dąb plebiscytowy”. Na centralnym placu, który często nazywany był placem ku czci bohaterów, odbywały



Cmentarz poległych w Węgorzewie nad jeziorem Święciana. Źródło: M. Borrman, Ostpreusen, Berlin 1935.

się rozliczne „uroczystości ojczyźniane”, do których zaliczano m.in. Dzień Poległych („Totensonntag”), Dzień Żałoby Narodowej, rocznicę bitwy pod Tannenbergiem oraz zwycięstwo plebiscytowe. W okresie narodowosocjalistycznym założone cmentarze uzupełniono sadząc dęby Hitlera (Hitlereiche). Odbywały się tu uroczystości o nacjonalistyczno-szowinistycznym charakterze. Cmentarze powstawały głównie z inicjatywy mieszkańców oraz organizacji kombatanckich i „ojczyźnianych”.

Głównym miejscem upamiętnienia I wojny światowej w Prusach Wschodnich był uroczyste odsłonięty w 1927 r. „narodowy” pomnik bitwy tannenberskiej (Tannenberg-Nationaldenkmal). Centralnym założeniem tego monumentalnego pomnika w kształcie średniowiecznej twierdzy był krzyż, usytuowany na cokole, gdzie umieszczono następującą inskrypcję: „W tym miejscu spoczywa 20 niemieckich żołnierzy, poległych w bitwie pod Tannenbergiem 28.08.1914 r. Tu Niemcy czczą pamięć swoich zmarłych w czasie wojny światowej 1914-1918. 184 000 poległo na obcej ziemi albo na dnie mórz, 206 000 znalazło swoje miejsce spoczynku w ziemi rodzinnej”.

W dniu 2 października 1935 r. nastąpiło uroczyste złożenie do specjalnej krypty zwłok zwycięzcy bitwy pod Tannenbergiem, prezydenta Paula von Hindenburga (zmarłego 2 sierpnia 1934 r.). Od tego czasu upamiętnienie w Olsztynku stało się najważniejszym pomnikiem III Rzeszy (Reichshendendenkmal). Było to miejsce szowinistycznych demonstracji i licznych hitlerowskich zgromadzeń z udziałem najwyższych władz, m.in. Adolfa Hitlera.

Ironią historii można nazwać fakt, iż w 2007 r. prezes Towarzystwa Przyjaciół Olsztynka zaproponował odbudowę części „Tannenberskiego Pomnika Niemieckiej Chwały”. Pomysł ten spotkał się z powszechną krytyką.

W ramach akcji odniemczania po 1945 r. na całym obszarze byłych Prus Wschodnich przystąpiono do likwidacji symboli „pruskiego panowania”. Na masową skalę zaczęto natomiast budować cmentarze i pomniki ku czci poległych w czasie II wojny światowej żołnierzy Armii Czerwonej.

W przypadku cmentarzy wojennych z I wojny światowej przystąpiono po 1945 r. do likwidowania pomników, krzyży czy tablic pamiątkowych. Działo się to z inicjatywy władz lub nowych mieszkańców i dotyczyło najczęściej dużych cmentarzy znajdujących się w miastach. Same groby żołnierskie, pozbawione opieki z czasem ulegały zanikowi. Los był bardziej przychylny dla mniejszych cmentarzy, położonych w lesie, w ustronnych miejscach, tych które nie „rzuciły się w oczy”. Część z nich przetrwała do czasów współczesnych.

W przypadku Warmii i Mazur kwestia ich ratowania stała się przedmiotem zainteresowania m.in. ze strony mniejszości niemieckiej, władz niemieckich oraz Wspólnoty Kulturowej „Borussia”. W 1992 r. z inicjatywy Olsztyńskiego Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej przystąpiono siłami społecznymi do odnowienia cmentarza wojennego w Jakubowie, położonego w lesie, na obrzeżach Olsztyna. Uroczyste, ponowne wyświęcenie cmentarza miało miejsce w listopadzie 1992 r. Uczestniczyli w nim m. in. przedstawiciele władz miasta oraz konsulatu RFN w Gdańsku. Na cmentarzu tym obok żołnierzy niemieckich pochowani byli także żołnierze rosyjscy. Cmentarz został dwukrotnie sprofanowany, co spotkało się z potępieniem władz samorządowych i kościelnych. Z okazji niemieckiego „Dnia Pamięci” (Volkstrauertag),

14 listopada 2004 r. na cmentarzu (Ehrenfriedhof) w Jakubowie przedstawiciele mniejszości niemieckiej złożyli wiązanki kwiatów. Uroczystościom towarzyszyła Msza Święta w kościele katolickim pod wezwaniem Serca Jezusowego w Olsztynie oraz spotkanie w Domu Kopernika, siedzibie mniejszości niemieckiej.

Z inicjatywy niemieckiego Związku Opieki nad Niemieckimi Mogiłami Wojennymi (Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge) m.in. odnowiono dawne założenie cmentarne, stawiając krzyże i dwujęzyczną tablicę pamiątkową oraz nowe tablice z nazwiskami poległych żołnierzy na cmentarzu wojennym pod Elkim, nazywanym często Golgotą Prus Wschodnich (Golgota Ostpreußens).

Z inicjatywy WK „Borussia” w latach 1993-1999 zorganizowano przy współudziale młodych Niemców międzynarodowe obozy młodzieżowe, których celem była renowacja starych, pochodzących z I wojny światowej cmentarzy wojennych. Prace te prowadzono m.in. w Drwęcku, Łynie oraz Szkotowie. Działania te spotkały się z życzliwym zainteresowaniem miejscowej ludności. Projekt był kontynuowany w 2007 r. na terenie Obwodu Kaliningradzkiego, w okolicach Ozierska.

Wszystkie cmentarze sprzed 1945 r. uznane zostały obecnie za dobro kulturowe podlegające urzędowej ochronie. Dawne cmentarze (wojenne, parafialne, publiczne, itp.) są przedmiotem troski, nie tylko służb konserwatorskich, ale także powstałego w 1993 r. Społecznego Komitetu Ratowania Dawnych Cmentarzy na Warmii i Mazurach. Na większości cmentarzy znajdują się bardziej lub mniej zadbane stare nagrobki i krzyże. Także dawni mieszkańcy troszczą się o te miejsca pamięci. Tak np. 12 maja 2007 r. na dawnym cmentarzu ewangelickim w Nawiadach (powiat Mrągowo) odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia pamiątkowego, który powstał z inicjatywy dawnej mieszkanki wsi, przebywającej obecnie w Niemczech. W uroczystości uczestniczył m.in. ksiądz ewangelicki z Mrągowa.

Interesującym przykładem renowacji cmentarza wojennego jest Elk. Znajdują się tam odnowione oryginalne mogiły żołnierzy armii niemieckiej i rosyjskiej. Zachowano dawne założenie przestrzenne składające się z strzelistego pomnika oraz dużych oryginalnych inskrypcji w kamieniu w języku niemieckim. Nowym elementem jest dwujęzyczna tablica z następującymi



Uroczyste wyprowadzenie trumny ze zwłokami feldmarszałka von Hindenburga z jego majątku w Ogródzieńcu (Neudeck) Źródło: M. Borrmann, Ostpreußen, Berlin 1935.



Złożenie zwłok Hindenburga w krypcie na terenie pomnika bitwy pod Tannenbergiem. Źródło: M. Borrmann, Ostpreußen, Berlin 1935.

napisami: „Pamiętamy o tych którzy przed 1945 r. w Elku żyli i tu zmarli. Wir gedenken derer die bis 1945 in Lyck lebten und hier starben”.

Większych kontrowersji społecznych nie budzi także restauracja dawnych tablic z nazwiskami poległych w I wojnie światowej. Wiele z nich, najczęściej znajdujących się w miastach, uległo zniszczeniu. Przetrwwały w nienaruszonym stanie tablice w mniejszych miejscowościach oraz tam gdzie mieszkali bądź mieszkają nadal krewni poległych. Jerzy M. Łąpo w ramach realizacji projektu „Pamięć chłopców naszych. Wiejskie i małomiasteczkowe pomniki na Mazurach. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość” na stronie internetowej pt. „Mazurska pamięć...” dokumentuje w siedmiu powiatach mazurskich ogółem 112 pomników upamiętniających poległych w I wojnie światowej. W powiecie elckim – 31 upamiętnień, giżyckim – 21, gołdapskim – 6, mrągowskim – 11,

oleckim – 20, piskim – 15, węgorzewskim – 8. Wiele z nich zachowało się do dzisiaj, np. w Pieczarkach, Kamionkach i Orłowie w powiecie węgorzewskim. Część została odnowiona i otrzymała nowe tablice z niemieckim i polskim napisem. Np. we wsi Górne (powiat gołdapski) napis brzmi: „Zum Gedanken den Gefallenen des Kirchspiel Gurnen im I. Weltkrieg 1914-1918/ Pamięci mieszkańców parafii Górna poległych w I wojnie światowej 1914-1918”. Marmurową tablicę, ufundowaną przez Kreisgemeinschaft Goldap, zamontowano w 2005 r. (pierwotna tablica, także z czarnego marmuru z nazwiskami poległych została zniszczona). Podobna sytuacja miała miejsce w Orzechowie oraz Nowej Wsi Ełckiej, powiat ełcki, gdzie z inicjatywy Kreisgemeinschaft Lyck na początku XXI w. odrestaurowano pomnik poległych w I wojnie światowej, umieszczając nową tablicę w języku niemieckim i polskim. W Pieczarkach, powiat węgorzewski dwukrotnie odnowiono pomnik poległych „bohaterów” z lat 1914-1918. W końcu lat dziewięćdziesiątych XX w., w tylnej części pomnika jeden z dawnych mieszkańców wsi mieszkających w Niemczech, ufundował tablicę z napisami w dwu językach: „Zum Gedanken an die Toten des 2. Weltkrieges / Pamięci zmarłych w czasie II wojny światowej”. Na niektórych pomnikach zmieniono symbolikę, np. w Baniach Mazurskich, powiat gołdapski w miejsce krzyża żelaznego umieszczono figurę Jezusa (tablica pamiątkowa zaginęła). W Prostkach, powiat ełcki, w 1955 r. zmieniono całkowicie symbolikę pomnika. W miejsce orła i tablicy pamiątkowej, umieszczono nową tablicę dedykowaną Adamowi Mickiewiczowi w stulecie jego śmierci (por.: www.mazurskie_pomniki.republika.pl). Na niemieckiej stronie internetowej: www.denkmalprojekt.org znajduje się lista 52 cmentarzy i pomników z czasów I wojny światowej z terenu byłych Prus Wschodnich, w tym 46 zachowanych na obszarze Warmii i Mazur oraz 6 w Obwodzie Kaliningradzkim.

Do restauracji cmentarzy z czasów I wojny światowej przystąpiono z inicjatywy dawnych i nowych mieszkańców (np. w Nawiadach), mniejszości niemieckiej oraz organizacji ziomkowskich z Niemiec. Często są to wspólne działania, np. w 2002 roku z inicjatywy Związku Młodzieży Wschodniopruskiej (BJO, Bund Junges Ostpreußen) odtworzono dwie tablice z nazwiskami osób poległych w parafii Ram-

sowo (gmina Barczewo na Warmii). Na dwujęzycznej tablicy umieszczono napis: „Ku pamięci synów parafii, którzy zginęli podczas I Wojny Światowej 1914-1918” (tak w oryginale).

W 2008 r. staraniem dawnych mieszkańców wsi Bartąg koło Olsztyna odnowiono nakładem dużych środków finansowych założenie pomnikowe upamiętniające parafian poległych w czasie I wojny światowej. Stanowi go sporych rozmiarów brama triumfalna stanowiąca jednocześnie wejście do pobliskiego kościoła; w górnej części znajdują się dwie płasko-rzeźby żołnierzy w hełmach; ich sylwetki otoczone są wieńcem z liści dębu. Pod spodem znajdują się dwa żelazne krzyże. W niszach bramy umieszczono dwie nowe tablice z czarnego marmuru z nazwiskami osób poległych w I wojnie światowej. W przedsionku kościoła umieszczono listę z nazwiskami około 150 parafian poległych w czasie II wojny światowej. Znajdują się tam nazwiska żołnierzy Wehrmachtu oraz ludności cywilnej.

W październiku 2007 r., za sprawą artykułu w prasie regionalnej, głośna stała się sprawa odkopanego w Borecznie koło Zalewa obelisku upamiętniającego żołnierzy poległych w I wojnie światowej. Był to długi na około dwa metry obelisk ustawiony w 1922 r. i mający relief przedstawiający krzyż żelazny z mieczem i stalowy hełm oraz datę 1914-1918. Umieszczono na nim napis „Unsern Helden” („Naszym bohaterom”). Z parafii tej poległo 86 osób, z tego 14 mieszkańców Boreczna. Nazwiska wszystkich poległych utrwalone zostały na dwóch tablicach zawieszonych na parterze wieży kościoła.

W wyniku aktywności dawnych mieszkańców powiatu Morąg latem 2003 r. uroczyście odsłonięto w Kwietniewie, powiat Elbląg odrestaurowany pomnik (Kriegerdenkmal) poległych w I wojnie światowej. Inicjatywa ta mieściła się w ramach wcześniej podpisanej umowy pomiędzy powiatem elbląskim a Kreisgemeinschaft. Interesujący w tym przedsięwzięciu jest fakt, iż znajdujące się na kamiennym pomniku (w kształcie piramidy) trzy żeliwne płyty (dwie z nich zawierały wykaz 81 poległych a trzecia stanowiła apoteozę zmarłych) zostały w okresie powojennym potajemnie wywiezione do Niemiec, gdzie po odnowieniu trafiły do muzeum dawnego powiatu morąskiego (Heimatmuseum des Kreises Preußisch Holland) w Itzehoe. Na obudowanym cokole pomni-

ka umieszczono jednak nie oryginały tablic, ale ich wierne kopie: „Wierne oryginałowi, to znaczy tylko w języku niemieckim, nie niemiecko-polskie lub tylko w języku polskim. Ten niemiecki pomnik powstał pomimo przeszkód czynionych ze strony władz [wojewódzkich–A.S] dzięki staraniom polskiego wicestarosty Romanowskiego” – z satysfakcją donosił „Das Ostpreußenblatt” z 22 listopada 2003 r. „Jest on zaprzyjaźniony z przewodniczącym Kreisgemeinschaft i nie jest to ich pierwszy wspólny projekt. Pamiątkowy pomnik jest już 12 odnowionym i odrestaurowanym przez Kreisgemeinschaft kamieniem upamiętniającym wojnę (Kriegergedenkstein) w powiecie” czytamy w organie Ziomkostwa Prus Wschodnich.

W artykule tym znajdujemy wykładnię trzech funkcji, jakie z punktu widzenia ziomkostwa pełni dziś ten i inne pomniki: „Czci on poległych, przypomina o niemieckiej historii miejscowości i symbolizuje nade wszystko postępujące niemiecko-polskie dojsie do porozumienia. Południowe Prusy Wschodnie odzy-

skują krok po kroku swoją historię i otrzymują swoją przyszłość”. Trudno o jaśniejszą wykładnię polityki środowisk ziomkowskich w sprawie upamiętnień niemieckiej przeszłości w Polsce.

Literatura:

- R. Traba, *„Wschodniopruskość”. Tożsamość regionalna i narodowa w kulturze politycznej Niemiec*, Poznań-Warszawa 2005.
- W. Wrzesiński, *Prusy Wschodnie wobec doświadczeń I wojny światowej*; w: M. Wojciechowski (red.), *Społeczeństwo polskie pod panowaniem pruskim w I wojnie światowej (1914-1918)*, Toruń 1996.
- M. Dehnen, *Die Kriegsgraeber in Ostpreußen von 1914/1915*, Würzburg 1966.
- W. Knercer, *Cmentarze wojenne okresu I wojny światowej w województwie olsztyńskim*, Warszawa 1995.
- A. Grabarczyk, *Radny z Olsztyńka chce uczcić Hindenburga*, „Dziennik” z 10-11 marca 2007 r.
- T. Kurs, *Czy ustawiać pomnik żołnierzom I wojny*, „Gazeta Wyborcza. Olsztyn” z 5 października 2007 r.
- H. Zlotke. B. Knapstein, *Eine Stätte – drei Funktionen*, „Das Ostpreußenblatt”, 47-22. November 2003.

ZBIGNIEW MAZUR

O niemieckich upamiętnieniach przesiedleń

Podczas ciągnącej się blisko dziesięć lat dyskusji na temat utworzenia w Berlinie wyspecjalizowanego ośrodka zajmującego się dokumentowaniem i upamiętnianiem niemieckich uciekinierów i przesiedleńców niejednokrotnie pojawiał się ze strony działaczy Bund der Vertriebenen slogan, że w końcu trzeba przerwać milczenie, jakie rzekomo otoczyło los tej zbiorowości w Republice Federalnej Niemiec. Slogan nie miał żadnego pokrycia w rzeczywistości, co najwyżej mógł się odnosić do dawnej NRD, gdzie istotnie przesiedlenia w oficjalnej polityce historycznej nie istniały. Natomiast w RFN było dokładnie przeciwnie, kwestię transferu ludności niemieckiej podnoszono tam na szczeblu oficjalnym systematycznie, a rząd federalny wspierał finansowo działalność instytucji pielęgnujących pamięć o przesiedleniach. Zajmowały się tym nie tylko ziomkostwa, ale również liczne in-

stytucje z nimi powiązane: fundacje, biblioteki, muzea, archiwa etc. Spis tych instytucji robi imponujące wrażenie¹. Nie brakło wydawnictw dokumentacyjnych, prac naukowych, publikacji propagandowych, czasopism i drobnych pisemek poświęconych zbiorowości przesiedleńców. W Martin-Opitz-Bibliothek w Herne zgromadzono ok. 200 tys. publikacji zwartych oraz ok. 400 periodyków dotyczących tej problematyki. O żadnym przemilczaniu nie mogło i nie może być mowy. Faktem natomiast jest, że przez wiele lat polityczne stanowisko Bund der Vertriebenen nie cieszyło się uznaniem i że rzutowało to na ogólne postrzeganie przesiedleńców, że wreszcie przegrywali oni w konkurencji o status ofiary z ofiarami niemieckiego mordu na ludności żydowskiej.

Spory wokół utworzenia Centrum przeciw Wypędzeniom rozgrywały się w dwóch zasadniczych

plaszczynach. Pierwsza z nich dotyczyła interpretacji samego wydarzenia historycznego, tego czy przesiedlenia stanowiły rezultat rozbuchanego nacjonalizmu polskiego i czeskiego, czy też należy je widzieć przede wszystkim w perspektywie wojny rozpętanej przez Trzecią Rzeszę. Nie trzeba dowodzić, że pierwsze stanowisko było reprezentowane głównie, choć nie wyłącznie przez Bund der Vertriebenen. Drugi punkt sporny dotyczył płaszczyzny materialno-symbolicznej, tego czy w ogóle powinna powstać jakaś nowa budowla w Berlinie i czy wypada ją usytuować w pobliżu pomnika holokaustu. Bund der Vertriebenen odpowiadał na to twierdząco, ponieważ wychodził z założenia, że mord na ludności żydowskiej oraz cierpienia niemieckich przesiedleńców stanowiły dwie największe zbrodnie minionego stulecia. Nie negował wyjątkowości holokaustu, ale dopowiadał, że wiek XX był również „stuleciem wypędzeń”. Urabiał pogląd o ekwiwalencji między ofiarami żydowskimi i niemieckimi i dlatego przywiązywał tak duże znaczenie do ideowego programu i materialnej reprezentacji cierpienia przesiedleńców. Heidemarie Uhl przypomniała niedawno, że w walce o pamięć zbiorową mocne zaakcentowanie obecności w przestrzeni publicznej jest świadectwem zwycięstwa, determinuje pozycję, jaką znak pamięci zajmuje w hierarchii komemoratywnej². Warto pod tym kątem przyjrzeć się pomnikom, jakie postawiono w Republice Federalnej Niemiec dla upamiętnienia ucieczki i przesiedlenia ludności niemieckiej.

Szacuje się, że na terenie całych Niemiec powstało przeszło 1500 różnego typu trwałych upamiętnień przesiedleń, od rzeźb pomnikowych przez kamienie pamiątkowe po krzyże, tablice i drogowskazy. W okresie okupacji Niemiec przez cztery mocarstwa obowiązywał zakaz takiej komemoracji, ale już w 1947 r. zawisła odpowiednia tablica w hucie szkła w Immenhausen (Hesja). Rok później pojawiły się dalsze, a po utworzeniu RFN (1949 r.) upamiętnienia zaczęły się szybko mnożyć. Na przełomie 1949 i 1950 r. powstał pierwszy symboliczny Niemiecki Grób na Wschodzie (Deutsches Grab in Osten), w 1950 r. postawiono koło Bad Harzburg pierwszy Krzyż Niemieckiego Wschodu (Kreuz des deutschen Osten), a 10 września 1955 r. odbyła się wielka uroczystość odsłonięcia pomnika na placu Theodora Heussa w Berlinie Zachodnim. Aczkolwiek największe nasi-



Bad Harzburg

lenie komemoracji przypadło na lata pięćdziesiąte, to nie zaprzestano jej również w następnych dziesięcioleciach, aż do początków bieżącego stulecia. Po zjednoczeniu w 1990 r. objęła ona teren nowych landów. W Brandenburgii pierwszy kamień pamiątkowy odsłonięto w 1993 r. (Hohenwutzen), dwa następne w 1995 r. (Jerischke, Neustadt); w Saksoni pierwszy krzyż postawiono w 1994 r. (Radeberg), w następnym roku odsłonięto kilka głazów pamiątkowych (Crimmitschau, Auerbach, Torgau). Jednakże pod względem liczebności pomników nowe landy zdecydowanie przegrywają z landami „starej” Republiki Federalnej, zwłaszcza z przodującymi w tej dziedzinie Bawarią, Hesją lub Badenią-Wirtembergią.

O upamiętnienie zabiegały początkowo spontanicznie lokalne grupy uciekinierów i przesiedleńców ze wschodu, rychło jednak inicjatywę zaczęły przejmować reprezentujące ich organizacje, od 1957 r. skupione w Bund der Vertriebenen. Z czasem wyraźnie zwiększał się współdziałanie władz samorządowych,

zwłaszcza w miastach, które objęły patronat nad miejscowościami utraconymi na wschodzie. Władze lokalne musiały uwzględniać odczucia ludności przybyłej ze wschodu, zwłaszcza jeśli stanowiła ona licznie dużą zbiorowość. Nie ma tutaj specjalnej reguły, ale można przyjąć, że jeśli nacisk tej zbiorowości był odpowiednio silny i jeśli władze samorządowe reprezentowały określony opcję polityczną, to upamiętnienia silniej wchodziły w przestrzeń publiczną, na wzniesienia, place i ulice, niekiedy w pobliżu urzędowych budynków, czasami do parków i skwerów. Generalnie jednak zdecydowana ich większość była umieszczana w przestrzeni sakralnej, zwłaszcza na cmentarzach, które jako miejsce lokalizacji bodaj najlepiej przystawały do tego, co zamierzano upamiętnić. Charakterystyczne, że nowe pomniki we wschodnich landach również powstały głównie na cmentarzach. Przestrzeń sakralna determinowała symbolikę pomnika (krzyż!) oraz charakter uroczystości, jakie się odbywały w jego otoczeniu. Przypomnijmy, że w Republice Federalnej odnowiono w 1952 r. święto narodowej żałoby po ofiarach wojny (Volkstrauertag, druga niedziela przez adwentem), nawiązując do tradycji nieoficjalnego święta w republice weimarskiej, przerobionego w 1934 r. na państwowe święto poległych bohaterów (Heldengedenktag).

Pomniki omawianej tu kategorii były na ogół skromne. Najczęściej stosowany materiał to gładki narzutowy opatrzone napisami lub osobno położonymi tablicami. Na cmentarzach dominują oczywiście krzyże, rozmaicie modelowane, ale zazwyczaj tradycyjnie proste w formie, drewniane, kamienne, metalowe. Poza obszarem cmentarnym zdarzają się symboliczne drogowskazy, z nazwami i herbami prowincji lub miast na dawnym niemieckim wschodzie, sporadycznie również z nazwiskami wybitnych Niemców tam urodzonych lub działających. Na tablicy przed pomnikiem-drogowskazem w Darmstadt (Hesja, 1985) wypisano nazwy m.in. Königsberg (Królewiec) i Breslau (Wrocław) oraz nazwiska m.in. Kant, Herder, Kollwitz i Copernicus (Kopernik), tego ostatniego zaliczając oczywiście do narodu niemieckiego. Na gładkich lub tablicach występują herby prowincji lub miejscowości, przypominające o utraconych ziemiach oraz pochodzeniu (tożsamości) przesiedleńców. Wyraźnie polityczną funkcję spełniają kontury mapy Niemiec w granicach z 1937 r. z zaznaczonymi ziemiami

oderwanymi po II wojnie światowej. Rzeźby pomnikowe występują stosunkowo rzadko. Przedstawiają one zazwyczaj sylwetki uciekinierów, najczęściej matki tulące do siebie dzieci. W Norderstedt (Szlezwik-Holsztyn, 1959/1960) postawiono figury dwojga podążających naprzód starszych osób, mężczyzny i kobiety; kobieta niesie na ramieniu opatulone małe dziecko, drugie większe trzyma się rączką poły jej płaszcza. Wszystkie pomniki opatrzone są mniej lub bardziej obszernymi inskrypcjami. Na początku lat pięćdziesiątych były one z reguły bardzo proste, wręcz lakoniczne, mówiły głównie o zmarłych w utraconych stronach rodzinnych, później uległy rozbudowaniu, czasami do znacznych rozmiarów.

Ponieważ uciekinierzy i przesiedleńcy występowali w roli ikony cierpień, jakie spadły na naród niemiecki, w inskrypcjach nieodmiennie przewijały się motywy martyrologiczne. W latach pięćdziesiątych utarło się standardowe ewokowanie zmarłych (die Toten) i stron ojczystych (die Heimat): „Den Toten des deutschen Ostens“, „Den Toten der Heimat“, „Den Toten unserer



Bad Wildungen



Bamberg

Heimat", „Unseren Toten", „Zum Gedenken den Toten der Heimat", „Zum Gedenken an unsere Toten in der alten Heimat Sudetenland". Na krzyżu w Gettenau (Hesja, 1956) umieszczono wezwania do pielęgnowania pamięci o zmarłych w „zrabowanej ojczyźnie": „Vergesst die Toten unserer geraubten Heimat nicht". Strony ojczyste najczęściej występowały jako „niezapomniane": „Unvergessene ostdeutsche Heimat", „Unvergessene Heimat", „Heimat du bleibst unvergessen". Czasami posługiwano się formą apelatywną, wzywając do pozostania wiernym pamięci zarówno zmarłych, jak i stron ojczystych. Krzyż w Homberg/Efze (Hesja, 1956) posiada napis nawołujący do zachowania wierności zmarłym: „Heimatvertriebene! Wahrt euren Toten die Treue", a głaz w Langgoens (Hesja, 1978) ma napis wzywający do pamięci o dawnych niemieckich ziemiach na wschodzie: „Vergiss den deutschen Osten nicht". W Bambergu (Bawaria) postawiono rzeźbę Liczyrzepy, który dowcipnie napomina: „Der Ruebezahl sehr ernst spricht: Vergesst mir die Heimat nicht". Tablica na murze cmentarnym w Herborn (Hesja, 1955) apeluje do całego narodu niemieckiego: „Vergiss du deutsches Volk den deut-

schen Osten nicht". Na krzyżach w Hofgeismar (Hesja 1950) i Bremerhaven (1950) zwrócono się do Boga z błaganiami o powrót w strony ojczyste („Herr, geleite uns Heim!").

Program ideowy upamiętnień odnosi się niemal zawsze, choć zdarzają się naturalnie odstępstwa, do losu całej zbiorowości uciekinierów i przesiedleńców oraz do wszystkich ziem utraconych na wschodzie. Tablica w Landshut (Bawaria, 1986) wylicza metodycznie tych, którzy żyli na „obszarach wypędzenia" i tych, którzy dotarli do „resztki" Niemiec: „1939 lebten 18,7 Mill. Deutsche in den Vertreibungsgebieten. 1944-1945-1946 und später wurden sie vertrieben, verschleppt, ermordet oder sind verschollen. 12 Millionen erreichten den Rest des geschlossenen deutschen Volksboden...". Liczby padają różne, ale nie poniżej wysokości utrwalonej w propagandzie uprawianej przez środowiska przesiedleńcze. Czasami pojawia się 15 mln „wypędzonych" i 2 mln zabitych, czasami liczby te są jeszcze wyższe. W Aalen (Badenia-Wirtembergia, 1950) napisano: „1945 begann die Vertreibung von 18 000 000 deutschen Menschen aus ihrer seit Jahrhunderten bewohnten Heimat – dabei fanden 3 000 000 den Tod". W inskrypcjach regularnie powtarzają się słowa-klucze: „ofiara", „wypędzenie", „wypędzeni", „wypędzeni ze stron rodzinnych". „Sprawca" jest oczywisty, nawet jeśli nie wymienia się go z imienia. Tablica na cmentarzu w Bogen (Bawaria, 1950) definiuje „wypędzonych" z jednej strony jako ofiary nienawiści, z drugiej jako obrońców praw człowieka: „Den Opfern des Hasses und der Gewalt, den Verteidigern von Recht und Menschlichkeit...". Nie ma wątpliwości co do tego, kto był „ofiara" a kto „sprawcą", kto powodował się ślepą nienawiścią i używał przemocy (państwa koalicji antyhitlerowskiej), a kto bronił zasad prawa i człowieczeństwa (Niemcy, a konkretnie uciekinierzy i przesiedleńcy).

Kategorię ofiar w interesujący sposób poszerzano, stwarzając wrażenie ekwiwalencji między poległymi żołnierzami na polu walki (w pierwszej i drugiej wojnie światowej), cywilami zabitymi w trakcie działań wojennych oraz „wypędzonymi". Dwa bardzo podobne do siebie przykłady. Krzyż na cmentarzu w Bernbeuren (Bawaria, 1951) ma dwie tablice, jedna mówi o „ofiarach wypędzenia ze stron ojczystych", druga czci „naszych poległych w obu wojnach": „Den Toten der Heimat, den Opfern der Heimatvertreibung"

oraz „Unseren Gefallenen beider Kriege 1914-1918, 1939-1945. Der Heimat ewige Treue“. Podobnie jest w Prien am Chiemsee (Bawaria, 1975): „Zum Gedenken an unsere Gefallenen beider Weltkriege und der Opfer der Vertreibung aus den deutschen Ostgebieten 1945-1946“. Kilka dalszych przykładów potwierdza, że nie chodzi tu o incydentalne wybryki: Somborn (Hesja): „Zum Gedenken unserer Toten in der alten Heimat. Der Gefallenen von 1939-1945 und der Opfer der Vertreibung“; Seligenstadt (Hesja, 1958): „Den Opfern der Krieg, der Gewalt, der Vertreibung. Gottes Frieden“; Gelnhausen (Hesja, 1951): „Den Opfern der Zwangsvertreibung 1945. Den Gefallenen der Kriege 1914-1918 und 1939-1945“; Monachium (Bawaria, 1990): „Zum Gedenken an die Gefallenen und Vermissten 1914-1918 u. 1939-1945, an die Opfer 1945-1951, an die Toten in der alten und neuen Heimat. Den lebenden zur Mahnung“. Zestawienie w jednym szeregu „ofiar” żołnierzy Wehrmachtu i „wypędzonych” sprawia dziwne wrażenie, bo tym pierwszym przydaje aury niewinności, a tym drugim waleczności. Wynika z tego, że wspólnie poświęcili oni życie w obronie niemieckiego wschodu, a właściwie i po prostu – oddali je w służbie hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

Obok motywu cierpienia i śmierci „wypędzonych”, na pomnikach regularnie pojawia się motyw odzyskania ziem utraconych na wschodzie (nazwy i herby prowincji na wschodzie, kontury map etc.). W Bad Wildungen (Hesja) ustawiono w 1961 r. tablicę z mapą Niemiec z 1937 r., podzieloną na trzy części: Niemcy zachodnie (RFN), Niemcy środkowe (NRD) i Niemcy wschodnie (tereny odjęte po wojnie). Dwa hasła na tablicy przypominają o „niepodzielności Niemiec” i niemieckim „prawie do samostanowienia”: „Das unteilbare Deutschland” i „Das Selbstbestimmungsrecht gilt auch für Deutsche”. Na ratuszu w Moelln (Szlezwik-Holsztyn, 1987 r.) znajduje się mapa Niemiec z 1937 r. wraz z napisem wzywającym do „dopełnienia” (określenie wzięte z preambuły Ustawy Zasadniczej) jedności niemieckiej: „Das gesamte deutsche Volk bleibt aufgefordert, in freier Selbstbestimmung die Einheit und Freiheit Deutschland zu vollenden”. Tablica na rynku miejskim w Alsfeld (Hesja, 1988) pokazuje mapę Niemiec uwzględniającą nawet tereny utracone po I wojnie światowej, również Sudety zajęte w 1938 r. przez Trzecią Rzeszę, z tym, że chodzi tam chyba głównie o zobrazowanie tzw.



Berlin

obszarów wypędzenia. W Bad Arolsen (Hesja) tablica z 1960 r. przedstawia Niemcy z 1937 r. podzielone na trzy części; napis głosi „niepodzielność Niemiec” („Deutschland Unteilbar”), ale nowa tablica, dołączona już po 1990 r., uspokaja, że potwierdzenie granic przez zjednoczone Niemcy stanowi ważny element europejskiego ładu pokojowego. To bardzo ciekawy przypadek, ale zupełnie odosobniony. Nie udało mi się znaleźć innego przykładu zastosowania podobnego rozwiązania, może z wyjątkiem zmian w inskrypcji na pomniku w Berlinie.

Jak już wspomniałem, na Theodor-Heuss-Platz w Berlinie Zachodnim, ustawiono w 1955 r. znacznych rozmiarów blok pomnikowy zwieńczony misą z ogniem wечно się palącym. Od strony frontowej umieszczono na nim dużymi literami hasło: „Wolność Prawo Pokój” („Freiheit, Recht, Frieden”), a na lewej bocznej ścianie napis zapowiadający, że wieczny ogień będzie płonął aż do „odbudowania jedności niemieckiej i urzeczywistnienia prawa do stron rodzinnych”, czyli po prostu do momentu odbudowania Niemiec w granicach przedwojennych („Diese Flamme wird brennen bis zur Wiederherstellung der deutschen Einheit und der Verwirklichung des Rechts auf Heimat. Berlin, Am 10. September 1955. Die Landsmannschaften der deutschen Heimatvertriebenen”). Pozostawienie tego napisu, na pomniku w jednym z najbardziej eksponowanych miejsc stolicy



Darmstadt

niemieckiej, byłoby po zjednoczeniu (1990) rzuceniem otwartego wyzwania Czechom i Polakom. Napis więc usunięto, pozostawiając misę z wiecznym ogniem i dodając na tylnej ścianie nową inskrypcję z hasłem: „nigdy więcej wypędzenia” („Diese Flamme mahnt: nie wieder Vertreibung!”). To hasło nabiera jednak specjalnego znaczenia w kontekście dwóch innych haseł, powszechnie znanych i na okrągło powtarzanych w Niemczech: „Nigdy więcej wojny!” („Nie wieder Krieg!”) oraz „Nigdy więcej Auschwitz!” („Nie wieder Auschwitz!”). Jeśli uwzględnić ten kontekst, to wtedy na jednym poziomie potępienia znajduje

się wojna wywołana przez Trzecią Rzeszę, niemiecki mord na ludności żydowskiej oraz przymusowe wysiedlenie ludności niemieckiej. Nie jest to żadna nadinterpretacja, albowiem takie właśnie podejście dominuje w propagandzie Bund der Vertriebenen, i nie tylko tam.

To, że przytłaczająca większość upamiętnień zawiera werbalne lub symboliczne przesłanie rewizjonistyczne, nie ulega żadnej wątpliwości. Kamień w Pocking (Bawaria) nawoływał do pielęgnowania pamięci o „zrabowanych obszarach ojczyznianych”: „Deutsche, gedenkt der durch Potsdam und Yalta geraubten Heimatgebiete”. Na tablicy w Giessen (Hesja, 1956) autorytatywnie stwierdzono, że Śląsk zawsze był, jest i pozostanie niemiecki: „Schlesien ist deutsch. Schlesien war deutsch. Schlesien bleibt deutsch”. Przed pomnikiem-drogowskazem w Darmstadt (Hesja, 1985) wspomniano co prawda o wyrzeczeniu się „zemsty i odwetu” (zwrot z karty „wypędzonych”, 1950 r.), ale również o tym, że pomnik powinien ustawicznie przypominać o prawnomiędzynarodowej przynależności do Niemiec wymienionych z nazwy prowincji położonych na terenie Polski: „Es soll stets an die völkerrichtliche Zugehörigkeit der deutschen Provinzen Ost- und Westpreussen, Schlesien, Oberschlesien, Pommern und Ostbrandenburg zu Deutschland erinnern...”. Jak widać, dla autorów tego napisu polsko-niemiecki układ graniczny z 1970 r. nic nie znaczył. Na wielu pomnikach występuje zapewnienie lub wezwanie do „wierności” wobec dawnej małej ojczyzny, przy czym jest zupełnie oczywiste, że

Hohenwutzen



ma ona polegać na odzyskaniu utraconych terenów: krzyż postawiony niedaleko Kammerbach (Hesja, 1952) zapewnia „Heimat wir bleiben dir treu”; krzyż w Kesselbach (Hesja, 1953) podobnie: „Der Heimat die Treue”. Pamięć zbiorowa uciekinierów i przesiedleńców była osadzana w ramach politycznych. Nawet jeśli komemoracją zajmowały się „powiaty ojczyźniane”, posiadające dokładne wyznaczniki geograficzne, to z reguły propagowały one przesłanie odnoszące się do całego niemieckiego wschodu i całej zbiorowości „wypędzonych”.

Istniała również nieco inna tendencja, z czysto ludzkich powodów bardziej zrozumiała, w której starano się połączyć wspomnienie o dawnej małej ojczyźnie z rodzącym się przywiązaniem do nowego miejsca zamieszkania. Dobrze wiadomo, że „wypędzonych” nie przyjmowano w strefach zachodnich z otwartymi rękoma i że ich egzystencja w nowych warunkach była początkowo niezwykle trudna. Mimo to rodziła się wśród nich powoli identyfikacja z nowym miejscem pobytu, znajdująca odzwierciedlenie w komemoracji. Na pomnikach zaczęło się pojawiać określenie „nowa ojczyzna” („neue Heimat”), a niekiedy również wyrazy wdzięczności za umożliwienie ponownego startu życiowego. W Birkenau (Hesja, 1972) upamiętniono zmarłych zarówno w dawnych, jak i nowych stronach rodzinnych, choć oczywiście była wyczuwalna różnica między sformułowaniami „tutaj” i „stara ojczyzna”: „Unseren Toten hier und in der alten Heimat”. Na cmentarzu w Biblis (Hesja, 1995) posunięto się krok dalej, wymieniając obok siebie „starą i nową ojczyznę”: „Zum Gedenken an die Toten der alten und der neuen Heimat. 1945-1995. 50 Jahre Vertreibung”. Zdarzały się słowa podziękowania wobec nowej małej ojczyzny, jak w Backnang (Badenia-Wirtembergia, 1976): „Der alten Heimat zum Gedenken, der neuen Heimat zum Dank”. W Bad Homburg (Hesja 1982) upamiętniono „ojczyźniany powiat Marienbad”, ale jednocześnie złożono podziękowanie miastu Bad Homburg. W Burg (Hesja 1998) jest kamień z inskrypcją utrzymaną w podobnym duchu: „Wir haben zwar unsere Heimat verloren, - sie bleibt uns unvergessen - aber ein neues Zuhause erworben. Dank sei allen, die damals Hilfe leisteten”. I jeszcze fragment dobitnego napisu z Heppenheim (1998): „Unsere neue Heimat ist hier, die alte unvergessen!”.

Kilka zdań o pomnikach w landach wschodnich. Przeważają w nich standardowe napisy o „ofiarach” poniesionych w czasie „wypędzenia” i „ucieczki”, również na skutek „wojny”, „przemocy”, „terroru”, rządzkiej „dyktatury”. W Deutschneudorf (Saksonia 2003), niedaleko mostu granicznego z Czechami, upamiętniono marsz śmierci z Komotau (Chomutov) w dniu 9 czerwca 1945 r., masakrowanie ludności niemieckiej w powiecie chomutowskim, zamęczone kobiety, pracę przymusową i „KZ Komotau”; w Brandenburgii (Brandenburgia, 2003) - przeszło milion Niemców „rosyjskich” zmęczonych w stalinowskich łagrach. Relatywnie często piętnuje się „krzywdę/bezprawie” (das Unrecht), jakie spotkały ludność niemiecką: Erfurt (Turyngia, 1994): „Vertreibung ist Unrecht. Die Heimat ist unvergessen”; Delitzsch (Saksonia, 2000): „Zum Gedenken an die Vertreibung und das Unrecht an den Deutschen nach dem 2. Weltkrieg”. Zdarza się, że napisy mają formę apelatywną, ostrzegają przed ponownymi „wypędzeniami” lub wzywają do przechowania pamięci o krzywdzie jaka spotkała Niemców na wschodzie: Schwerin (Meklemburgia-Pomorze Przednie, 2000): „Nie wieder Krieg, Fluch und Vertreibung”; Stralsund (Meklemburgia-Pomorze



Norderstedt

Przednie, 1997): „Wider das Vergessen – den Lebenden zur Mahnung BdV“; Waren (Meklemburgia-Pomorze Przednie, 1996): „Wider das Vergessen! Den lebenden zur Mahnung. Gedenkt unserer Opfer von Flucht und Vertreibung. Unrecht bleibt Unrecht!“. W zasadzie nie pojawiają się akcenty jawnie rewizjonistyczne. Osobiście nie sądzę, żeby za takie należało uznać samo wymienienie nazw prowincji lub miejscowości z których pochodzili przesiedleńcy.

Pomniki przesiedlenia ludności niemieckiej spełniały kilka podstawowych funkcji. Przede wszystkim unaoczniały obecność w Republice Federalnej Niemiec wielkiej zbiorowości ludności napływowej, usuniętej przymusowo z ziem, które albo zostały utracone po drugiej wojnie światowej, albo znajdowały się wprawdzie poza granicami z 1937 r., lecz kiedyś stanowiły miejsce długotrwałego niemieckiego zasiedlenia. Mimo ogromnego zróżnicowania wewnętrznego tej zbiorowości, miała ona poczucie odrębności swojego statusu, tym bardziej, że utwierdzały ją w tym niezbyt sympatyczne reakcje społeczności lokalnych. W strefach zachodnich „wypędzonych” uważano za Niemców drugiej kategorii, a że zostali ukształtowani w poczuciu misji cywilizacyjnej na wschodzie, to degradację społeczną odbierali boleśnie. Uciekinierzy i przesiedleńcy mieli również świadomość swojej odrębności kulturowej, tego że przywieźli ze sobą „niewidzialny bagaż” tradycji, obyczajów, gwar językowych, strojów, świętowania, pamięci o pozostawionych grobach bliskich. Krzyż postawiony na cmentarzu spełniał rolę symbolicznego grobu, przy którym wszyscy mogli się pojedynczo lub zbiorowo pomodlić za duszę przodków pochowanych w obcych krajach. Pomniki nieodmiennie przypominały o pokoleniach, które niegdyś zaludniały idealizowaną i sakralizowaną małą ojczyznę, położoną gdzieś daleko w środkowej, południowej i wschodniej Europie. Pamięć o ludziach i ziemi, o dziedzictwie kulturowym, determinowała odrębność tożsamości „wypędzonych”.

Wszystko to byłoby zrozumiałe, nawet żywiona przez długi czas nadzieja na powrót do pierwotnego miejsca zamieszkania. Ale niestety z pomników, podobnie jak z całej propagandy uprawianej przez „wypędzonych”, nie przeziiera nawet cień zrozumienia tego, co legło u podłoża przesiedleń, tego, czym była i co spowodowała Trzecia Rzesza. Idąc za Alexan-

drem i Margaret Mitscherlichami można powiedzieć, że psychiczne wyparcie Trzeciej Rzeszy pociągnęło za sobą przededefiniowanie skutków hitlerowskiej polityki i oczekiwanie od zwycięzców rygorystycznego przestrzegania zasad i norm, którymi Niemcy sami pogardzali i które systematycznie łamali³. Najlepiej o tym świadczy stawianie w tej samej płaszczyźnie komemoracji „wypędzonych” oraz żołnierzy poległych w pierwszej i drugiej wojnie światowej, a więc w wojnach rozpętanych przez Niemców i Niemcy. Potwierdza to również kreowanie „wypędzonych” na ofiarę absolutną, którą dotknęła – jak się to określa w niemieckim języku politycznym – bezprzykładna „krzywda” i „bezprawie” (das Unrecht) ze strony zwycięskich mocarstw. Na pomnikach nie wymienia się tych mocarstw z nazwy, podobnie jak nie wspomina się o Polakach i Czechach jako wykonawcach przesiedleń, ale zarówno inskrypcje, jak i symbolika nie pozostawiają wątpliwości co do moralnej, prawnej i politycznej oceny „krzywdzicieli” ludności niemieckiej. Sądząc po pomnikach (i nie tylko po nich) tożsamość „wypędzonych” została zbudowana na silnie zinternalizowanej koncepcji „ofiary”.

Pomniki świadczą o niezwykle upolitycznieniu środowiska „wypędzonych”, ściślej rzecz biorąc osób reprezentujących to środowisko, a więc również inicjujących i określających ideowy program upamiętnień. Inskrypcje i symbolika wiążą pamięć o dawnej małej ojczyźnie z dążeniem do odbudowania potężnych Niemiec w przedwojennych granicach, a więc nie tylko do ponownego zjednoczenia obu państw niemieckich, lecz również do odebrania ziem utraconych na rzecz Polski. Naturalnie nadzieje na rewizję granic z czasem opadały, podobnie jak pragnienie powrotu w miejsce dawnego zamieszkania. Tym niemniej zwraca uwagę, że nawet po podpisaniu w 1970 r. polsko-zachodniemieckiego układu o nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, na pomnikach nowych wciąż pojawiały się stare akcenty rewizjonistyczne. Po zjednoczeniu Niemiec i podpisaniu w 1990 r. polsko-niemieckiego układu granicznego nie skorygowano jawnie antypolskich napisów. Oczywiście dawne, ustawione przed wielu laty pomniki „ojczyźniane” stanowią obecnie w pewnym sensie coś w rodzaju zabytków historycznych i jako takie można je ewentualnie pozostawić, z tym że w skrajnych przypadkach symbolika i inskrypcje aż

proszą się o skorygowanie lub dołożenie stosownych tablic informacyjnych, mniej więcej tak, jak uczyniono to w Bad Arolsen (Hesja). Pozostawienie bez żadnych zmian, korektur i uzupełnień pomników o szczególnie antypolskiej i agresywnie rewizjonistycznej wymowie zakrawa na świadomą prowokację.

Zdjęcia w artykule reprodukowano za zgodą Bund der Vertriebenen. Źródło: Mahn- und Gedenkstätte, www.bund-der-vertriebenen.de

¹ *Ostdeutsches Kulturgut in der Bundesrepublik Deutschland. Ein Handbuch der Sammlungen, Vereinigungen und Einrichtungen mit ihren Beständen*, (opr. W. Kessler), Stiftung Ostdeutscher Kulturrat, K.G. Sauer, München, London, New York, Paris, 1989 r.

² H.Uhl, *Schuldgedächtnis und Erinnerungsbegehren. Thesen zur europäischen Erinnerungskultur*, „Transit”, 2008 nr 35, s. 9.

³ A. i M. Mitscherlich, *Die Unfähigkeit zu trauern. Grundlagen kollektiven Verhalten*, München 1968 r., s.14.

MARCIN TUJDOWSKI

Przeszłość jak „Bumerang”

Ziemie Zachodnie i Północne Polski po 1945 r. z oczywistych względów stanowiły interesujący i wdzięczny temat dla filmowców. Ich przyłączenie i niespotykana na dotychczasową skalę w polskiej historii wymiana ludności stwarzała okazję do zaprezentowania wielu wątków mniej lub bardziej osadzonych w realiach nowej sytuacji na zachodzie kraju, ludzkich losów, charakterów. Ziemie Zachodnie mogły być samym w sobie przedmiotem interesującym reżysera. Mogły stanowić tylko tło dla określonego obrazu. Wreszcie mogły być pretekstem dla pokazania pewnych zjawisk jak w laboratorium.

Twórcy sięgali do różnych form. Były zatem formy lekkie, takie jak komedie („Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego), filmy obyczajowe („Album polski” Jana Rybkowskiego), filmy wojenne lub nawiązujące do wojny, zwłaszcza z nieśmiertelnym motywem walki z niemieckimi dywersantami („Skąpani w ogniu” Jerzego Passendorfera, ale też serial „Cztery pancerni i pies” Konrada Nałęckiego, którego akcja rozgrywa się częściowo na Ziemiach Zachodnich), filmy z dominującym wątkiem psychologicznym („Pierwszy dzień wolności” Aleksandra Forda), sensacyjne („Prawo i pięść” Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego, „Ostatni świadek” Jana Batorego), a także kryminały („Gąszcz” Andrzeja Konica).

Przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wieku XX to okres triumfu polskiej szkoły filmowej. Jedną z cech charakterystycznych dla tego nurtu był wątek

rozliczania się z przeszłością okupacyjną i wojenną, a często stosowaną osią narracji – losy jednostek na tle wojny. Warto zatem przyjrzeć się stosunkowo rzadko wspomnianemu filmowi „Bumerang” z 1966 r. w reżyserii Leona Jeannota, według scenariusza Jerzego Janickiego .

Fabula filmu, którego akcja dzieje się w powojennym Wrocławiu, zarazem odważnie i konwencjonalnie porusza temat Ziemi Zachodnich. Odważnie – ponieważ twórcy tematem filmu uczynili losy młodego Niemca, urodzonego w przedwojennym Wrocławiu, szukającego tropów rodzinnych (zresztą dosyć mgliście zarysowanych w filmie). Odwagi można dopatrywać się w samym obrazie młodego Niemca i jego otwartym stosunku do Polski, jego zrozumieniu dla przemian historycznych i nawet pewnemu przyjęciu na siebie winy (ale też bez przesady) jako przedstawicielowi narodu który wywołał wojnę. Natomiast konwencjonalność filmu polega na tym, że wyjąwszy wewnętrzną grę, którą prowadzi ze sobą młody niemiecki bohater, reszta została przedstawiona do bólu stereotypowo, poczynając od dialogów jakie prowadzą ze sobą turyści z „NRF” (ówczesna pisownia) po pewne stałe klisze, np. motyw zbrodni wojennych, wycieczka do Oświęcimia itp.

Akcja filmu ma miejsce w latach sześćdziesiątych, na podstawie dialogów można wnosić, że dziewięćnaście lat po wojnie. Do Wrocławia przyjeżdża Kurt Schultern, student slawistyki z Wormacji (w tej roli



Kurt i Ewa w kinie
(H. Mahlich, B. Brylska).
Kadr z filmu.

Holger Mahlich). Już sam zabieg scenarzysty ze studiami slawistycznymi pozwala bohaterowi bez barier językowych prowadzić dialogi i skomplikowane dysputy z różnymi osobami napotkanymi podczas pobytu w Polsce. Otóż Kurt zatrzymuje się we wrocławskim hotelu, a jego prawdziwym celem jest odnalezienie dawnego rodzinnego domu i warsztatu samochodowego rodziców. W międzyczasie Kurt zakochuje się w Ewie, pięknej młodej recepcjonistce hotelu (w tej roli Barbara Brylska). Traf chce (zresztą, akcja filmu w znacznej części opiera się na zbiegach okoliczności), że ojciec Ewy jest mechanikiem oraz właścicielem warsztatu, którego poszukuje Kurt. Dalsze losy dwójki bohaterów to sprawa nieszczęśliwej i jeszcze nieakceptowanej miłości między Polką a Niemcem. Na oficjalnym plakacie film określono mianem „współczesnego dramatu miłosnego”.

Twórcy filmu jednak nie poprzestali na prostym umocowaniu fabuły w ramach jednej konwencji, nie zdecydowali się jednoznacznie ani na kino psychologiczne, ani na film romantyczny, ani też na film propagandowy; połączyli kilka gatunków, co ostatecznie nie wpłynęło pozytywnie na spójność obrazu. U widza może pojawić się nieodparte wrażenie, że film krąży gdzieś między opowieścią o miłości młodych i o grze psychologicznej między dwójką ludzi a zaangażowanym obrazem o jednoznacznym przekazie propagandowym. Nota bene, Jeannot w swoim późniejszym filmie „Zawiłości uczuć” skoncentrował się na wątku tragicznej miłości.

Bohaterką „Bumeranga”, młodą recepcjonistką Ewą targają sprzeczności, z jednej strony rodzące się uczucie i chęć zrozumienia racji młodego Niemca, z drugiej jednak pamięć o tragicznym losie zgotowanym jej rodzinie przez Niemców. W zakończeniu filmu

pozbawione perspektyw uczucie Niemca do Polki znajduje swoje tragiczne ukoronowanie – dwójka bohaterów ginie w wypadku samochodowym. Topos tragicznej śmierci kochanków kończącej nieakceptowany związek jest oczywiście obecny w literaturze, od podań ludowych po literaturę wysoką, siłą rzeczy przeniknął i do filmu, gdzie został wyeksploatowany we wszelkich możliwych formach. Tak jest i w tym wypadku. Natomiast na szczególną uwagę zasługuje paleta środków filmowych, za pomocą których twórcy zdecydowali się nakreślić fabułę.

Autorzy filmu już od pierwszych chwil postawili na mocny, bezpośredni przekaz, a używane przy tym symbole są płytkie, dosadne i nie pozostawiają miejsca na domysły. Oto w pierwszych minutach widz obserwuje Kurta wjeżdżającego volkswagenem do Wrocławia. Bohater przez szybę spogląda na wrocławski Cmentarz Oficerów Armii Radzieckiej. Kamera łapie obiekt widoczny przez szybę, w lusterkach, a jednocześnie kadr obejmuje też mapę w ręku kierowcy - przedwojenny plan Wrocławia („Plan von Breslau”). Na mapie nic się nie zgadza. Przekaz jest jasny – przedwojenny Breslau a dzisiejszy Wrocław to już inne miasta. W kolejnych minutach filmu bohater musi skorzystać z objazdu z powodu niewybuchu rozbrajanego przez saperów na budowie – buduje się nowy Wrocław. Tutaj trzeba oddać reżyserowi, że nie uległ pokusie i motyw odbudowy ze zniszczeń powojennych czy też rozwoju Ziem Zachodnich w ramach polskiej macierzy nie został zarysowany nawet w sposób dyskretny – po prostu go nie ma.

Niestety, dla odmiany wątek niemieckiego sprawstwa wojny został przedstawiony bez cienia finezji, a filmowemu Kurtowi nie oszczędzono żadnej okazji, aby utwierdzić go (i widza) w przekonaniu, że wywo-

dzi się on z nacji zbrodniarzy. Jedyni pozytywni i ludzcy Niemcy w filmie to turyści z bratniej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, przejęci wizytą w obozie Auschwitz .

Pierwszy kontakt z ojcem Ewy (w tej roli Zdzisław Karczewski), który nie zna prawdziwych zamiarów Kurta i jest przekonany, że Niemcowi chodzi o reparację samochodu, przebiega w charakterystyczny dla całego filmu sposób. Oto ojciec dziewczyny odmawia naprawy samochodu młodego Niemca – wskazuje na licznik wymontowany z taksówki, którą stracił 1 września 1939 r. w nalocie bombowym („Mówi Panu coś ta data?” pyta zmieszanego Niemca). Od tego czasu mechanik zajmuje się wyłącznie motocyklami i tylko dlatego odmawia naprawy. W dodatku na murze warsztatu wciąż jest widoczny niemiecki napis „Auto – Service”, zresztą taki był tytuł słuchowiska radiowego, na kanwie którego powstał scenariusz filmu.

W następnych ujęciach akcja filmu przenosi się do hotelu. To dobre miejsce do propagandowego pokazania powojennej Polski jako kraju nowoczesnego, otwartego na turystów, pozbawionego kompleksów, czującego się gospodarzem na „odzyskanych ziemiach”. W hotelowym holu roi się od obcojęzycznych turystów, widać plakaty w językach zachodnich reklamujące turystyczne uroki Polski, co chwila spod hotelu ruszają autokary pełne zagranicznych turystów, tu i ówdzie w kadr wchodzi czarnoskóry podróżny. W holu przy recepcji pojawia się nawet starozakonny rabin, ku zdziwieniu Ewy czytający polską gazetę. Starszy recepcjonista towarzyszący dziewczynie wyjaśnia, że jest za młoda, żeby pamiętać polskich rabinów. Wymowa tej sceny jest oczywista: wskazuje na wojnę i pośrednio na Niemców jako winowajców. W hotelu Kurt spotyka dwójkę turystów z zachod-

nich Niemiec. Starszy z nich okazuje się weteranem Wehrmachtu, który służył w czasie wojny we Francji, Norwegii, Polsce i Rosji. Na uwagę studenta, że jest zatem już drugi raz w Polsce, odpowiada: „Teraz nie jestem w Polsce, jestem w Breslau”. W międzyczasie w kadrze pojawia się taksówka bagażowa, stary Niemiec zauważa, że maszyna do szycia, meble, pianino jest niemieckie. I dodaje: „Wszystko, wszystko czeka na nas”.

Towarzyszący mu młodszy turysta zachodnioniemiecki również nie budzi cienia sympatii. Przyjechał do Polski, aby obejrzeć dawny rodzinny pałac, w którym obecnie znajduje się szkoła muzyczna. Niemiec uważa, że wciąż ma prawo do posiadłości, a widząc sceptycyzm Kurta, pyta go wprost: „Pan nie uważa, że Niemcy zostały skrzywdzone?” Nota bene Kurt odpowiada na te słowa przecząco w innej scenie, kiedy spotyka kolejnego Niemca – turystę porządkującego rodzinny grób na wrocławskim cmentarzu. Ta scena zresztą też jest znamienna, ponieważ można wywnioskować z niej, że niemiecki cmentarz przetrwał nieknięty, a jedynym problemem jest bujna roślinność, a przecież średnio rozgarnięty widz był świadomy tego, jaki los spotkał ponemieckie miejsca pochówku.

Gdy Ewa i jej ojciec odkrywają, że warsztat w przeszłości należał właśnie do rodziny Schulernów i prawdziwe zamiary Kurta stają się dla nich jasne, obecny w warsztacie profesor – nauczyciel niemieckiego Ewy (w tej roli Władysław Krasnowiecki) – stwierdza: „Chcą żebyśmy pamiętali, że oni pamiętają.”. Apeluje, żeby nie dać sobie zabrać tego, co tu zrobili i Piast, i obecni mieszkańcy. Wspomnienie o Piastach w kontekście Wrocławia jest tak oczywiste, że nie wymaga specjalnego omawiania. Warto przytoczyć odpowiedź Kurta na słowa profesora powtórzone mu przez Ewę

Fantasmagoria Ewy: Kurt jako esesman (H. Mahlich).
Kadr z filmu.



: „pamiętają... pamiętacie... gramatyka polityczna”. W innym momencie filmu, kiedy uczennica ma problem z nauką niemieckiej gramatyki, profesor dwuznacznie stwierdza, że on rozumie Ewę, że czas terażniejszy jest ciekawszy od czasu przeszłego i zaprzeszłego. Widz nie ma wątpliwości, że nie o gramatykę tu chodzi. Zdaniem profesora: „to ciężka choroba ten brak pamięci. To choroba młodszych ode mnie i od pana [to do ojca Ewy]”.

Scena, kiedy młodzi bohaterowie trafiają do kina, nie zostawia żadnych niedomówień. Kronika filmowa przedstawia uroczystości zachodnioniemieckich ziomkostw. Głos lektora: „Nie poznajecie? Znowu maszerują. 20 lat po Berlinie, po Poczdamie, po wojnie. Organizacje przesiedleńców ze Śląska i Pomorza zorganizowały tutaj swój coroczny zlot. Hasła, których z takim niepokojem słuchamy w Warszawie i Pradze”. Na ekranie pojawia się transparent „Niemals Verzicht auf Schlesien”, lektor komentuje: „Bezczelne żądania rewizji granic na Odrze i Nysie.” Kamera pokazuje transparent „Schlesien gehört uns! und nicht den Polenkindern”, lektor mówi o militarystach, generałach Bundeswehry i politykach stojących za rewanżystami. Jednak na kronice filmowej się nie kończy. Film, który także bohaterowie oglądają, oddaje klimat „Bumerangu”. Akcja „Nocy nad Sekwaną”, bo taki tytuł nosi ów francuski obraz, dzieje się w czasie okupacji hitlerowskiej. Na ekranie widać niemieckich żołnierzy przeprowadzających łapankę we francuskiej kawiarni. Słychać strzały, krzyki. Kiedy po seansie udręczony Kurt i Ewa opuszczają kino, słychać z tłumu kwestię: „Tylko Niemcy byliby zdolni do czegoś takiego” (kobiety głos w tle).

W „Bumerangu” przewija się wątek oświęcimski. Kurt czekając pod kościołem na Ewę czyta klepsydrę

o treści: „Msza św. żałobna za duszę pomordowanych w walce z hitlerowskim okupantem i w obozach koncentracyjnych”. To do Auschwitz jadą turyści z NRD (turyści z Niemiec Zachodnich odmawiają). Do Auschwitz trafiają też bohaterowie filmu. Wcześniej, podczas prywatki z okazji urodzin przyjaciółki Ewy, Kurt niechcący obraża starszego mężczyznę, przez reżysera sztucznie wprowadzonego na młodzieżową imprezę. Przyczyną jest tatuaż obozowy na przedramieniu, którego pochodzenia Kurt nie rozumie. W tym momencie pojawia się pytanie nie tylko o wiedzę, ale i odpowiedzialność młodszego pokolenia Niemców za zbrodnie hitlerowskie. Zresztą, sam Kurt po wizycie w muzeum Auschwitz jest wyraźnie przybity: „teraz rozumiem, jak wy nas nienawidzicie, i słusznie”.

Z oczywistych względów ojciec Ewy jest niechętny związkowi dziewczyny z Niemcem. W jego osobie ucieleśnia się pamięć o wojnie, o krzywdach wyrządzonych przez Niemców. Ojciec i sędziwy profesor spełniają w filmie rolę strażników pamięci. Ponadto postać ojca legitymizuje polskie prawa do Ziemi Zachodnich, jego losy służą jako zwornik między przyczyną (wrzesień 1939 roku, bombardowanie Warszawy, obóz w Auschwitz, zbrodnie niemieckie popełnione także na rodzinie) a skutkiem (Wrocław polskim miastem). Wypowiada ważne słowa o niemieckich ziomkach: „oni chcą Wrocławia, jak kiedyś chcieli Gdańska”. Jest nieprzejednany. Każde dziewczynie wymyć ręce po spotkaniu z Niemcem, wspomina o wypychaniu materaców włosami, o gazowaniu dzieci (znowu wątek oświęcimski). Ewa także przeżywa rozterki. Broni Kurta przed ojcem: „winien jest czas, kiedy się to wszystko działo.”

Sprzeczne uczucia znajdują wyraz w fantasmagoriach Ewy. Dziewczyna spacerując z Kurtem, słucha



W kinie. Scena typowa dla filmu – kronika filmowa z rewanżystami zachodnioniemieckimi w roli głównej. Kadr z filmu.

Strażnicy pamięci: profesor i ojciec dziewczyny
(W. Krasnowiecki,
Z. Karczewski)
Kadr z filmu.



jego wywodów o tym, że młode pokolenie Niemców nie powinno być obwiniane o wojnę. Jednak w tym samym czasie wskutek złudzenia optycznego, Ewa w szybie okna wystawowego widzi twarz Kurta zestawioną z twarzą esesmana z plakatu reklamującego film. W tym momencie obrazy się zlewają i dalej Ewa widzi już Kurta w mundurze esesmana. Groteskowość sytuacji podkreśla kontekst: Kurt – umundurowany esesman stoi na oświetlonej neonami ulicy, obok supersamu, we Wrocławiu lat sześćdziesiątych. W innej scenie filmu Ewa jest świadkiem kolejnej przemiany Kurta. Oto student slawistyki, łagodny i bezbronny w obcym mu kulturowo społeczeństwie (a więc w pewnym sensie budzący sympatię widza), w czasie rozmowy telefonicznej z ojcem, prowadzonej po niemiecku, nagle nabiera szorstkości, jego głos staje się silny i zdecydowany. Ewa w tym momencie ucieka przerażona z jego pokoju.

Film kończy się sceną o symbolicznej wymowie. Kurt i Ewa jadą samochodem z Oświęcimia, gdzie zwiedzili obóz – ta wspólna podróż to efekt kolejnego spiętrzonego zbiegu okoliczności, jakich wiele w tym filmie. Na drogę wbiega dziewczynka z lalką w ręku. Kurt ma wizję, w której lalka dziewczynki zmienia się w lalkę widzianą wcześniej w obozowym muzeum wśród rzeczy odebranych dzieciom idącym do komory gazowej. W ostatniej chwili skręca samochodem, aby ocalić życie dziewczynki. Dochodzi do wypadku, w którym giną oboje, Kurt i Ewa.

Film obfituje w całą masę tego typu obrazków, słabiej lub mocniej zarysowanych, zazwyczaj o wymowie jednoznacznie obciążającej Niemców winą za wojnę i wskazującej na niebezpieczeństwo wiszące nad Ziemią Zachodnimi. Temu jednoznacznemu przekazowi podporządkowano warstwę artystyczną,

nic przeto dziwnego, że film spotkał się z chłodnym przyjęciem krytyki. Recenzentka „Ekranu”, Wiesława Czapińska dostrzegła w nim „szytą grubymi nićmi ilustrację problemów” oraz „katalog stereotypowych postaw i celowo obmyślonych zbiegów okoliczności”, trafnie zdiagnozowała, że „film ma charakter sloganowy, deklaracyjny”¹. Również publicysta „Kultury” Jacek Fuksiewicz nie oszczędził filmu: „To bowiem, co oglądamy w tym filmie, mimo zewnętrznego podobieństwa do rzeczywistości, nie jest wcale żyjącą rzeczywistością – jest to rzeczywistość spreparowana, skonstruowana i ułożona tak, aby ilustrować poszczególne myśli i problemy”².

W pewnym stopniu na wymowie filmu mogła zawżyć biografia twórców. Reżyser filmu Leon Jeannot³ naprawdę nazywał się Lejbele Katz. Przed II wojną światową dał się poznać jako twórca filmów w języku jidysz, współpracował z wytwórniami amerykańskimi. W 1939 r. trafił do Związku Radzieckiego i przebywał tam do 1957 r., pracując w branży filmowej. W świetle jego biografii nietrudno zrozumieć pojawienie się w filmowego rabina we wrocławskim hotelu – symbolizującego świat, którego powojenne pokolenie nie rozumie, nie zna, świat zniszczony przez Niemców. Nie sposób stwierdzić, na ile radzieckie doświadczenia Jeannota wpłynęły na tak ostre przedstawienie Niemców z RFN, niemniej warto wspomnieć że „Bumerang” cieszył się powodzeniem w Związku Radzieckim i był tam wielokrotnie nagradzany jako obraz zagraniczny. Echo tej popularności można napotkać w reportażach Ryszarda Kapuścińskiego. W 1967 r. odwiedził on azjatyckie republiki i w Baku trafił do kina na seans „Bumeranga”⁴.

Scenarzysta filmu, Jerzy Janicki był znany m.in. jako twórca radiowych „Matysiaków” i „W Jezioranach”;



Lalka w Oświęcimiu.
Kadr z filmu.

scenariusz do filmu napisał na podstawie własnego słuchowiska „Auto-service”⁵. Był lwowiakiem mocno związanym ze środowiskami kresowymi. Nie przypadkiem więc akcja filmu rozgrywa się we Wrocławiu, do którego trafiło wielu mieszkańców przedwojennego Lwowa i gdzie lwowska „mitologia” była szczególnie żywa. Warto też zwrócić uwagę na wątek powrotu do miasta, w którym się człowiek urodził. O ile w filmie zdecydowanie odrzucono niemiecki rewanżyzm, o tyle dawnym mieszkańcom nie odmawia się prawa do sentymentalnych odwiedzin stron rodzinnych. Można pokusić się o pewną paralelę: Wrocław nigdy nie będzie niemiecki, tak samo jak Lwów polski, niemniej dawni mieszkańcy powinni być traktowani gościnnie i przyjaźnie. Nie trzeba dodawać, że w latach sześćdziesiątych mieszkańcy Niemiec Zachodnich mieli nieporównywalnie lepsze niż Polacy możliwości uprawiania turystyki sentymentalnej. A warto nadmienić, że w filmie zagraniczni turyści są traktowani z atencją i nawet pewną dozą rodzicielskiego pobłażania, kiedy coś przeskrobia: pijanego niemieckiego kierowcę milicjanci nie tylko odwiozą w wybrane przez niego miejsce i odprowa-

dzą tam jego samochód, ale także martwią się, czy aby zamknął drzwi do auta pozostawionego na noc. Zbłąkanemu niemieckiemu podróżnemu poszukującemu w dolnośląskim miasteczku pałacu mieszkańcy uprzejmie tłumaczą drogę, pokojówka pomaga roztrzepanemu Kurtowi odkręcić ciepłą wodę w pokoju hotelowym etc.

Film należy odnieść do ówczesnych realiów politycznych. W roku 1965 miał miejsce list biskupów polskich do biskupów niemieckich, w którym polski kościół „przebaczal i prosił o przebaczenie”. Wywołało to silny sprzeciw władz, ale nie wydaje się, żeby zaważyło na wymowie filmu. Bardziej odcisnął się na nim toczący się od grudnia 1963 r. do sierpnia 1965 r. frankfurcki proces oświęcimski, zwany też drugim procesem oświęcimskim dla odróżnienia od procesu krakowskiego z roku 1947; w okresie poprzedzającym powstanie filmu miały miejsce również procesy załogi Bełżca (Monachium, 1965), Sobiboru (Hagen, 1965), Treblinki (Düsseldorf, 1964–65) oraz część procesu „akcji 1005” (Heilbron, 1962 – 63; Koblencja, 1963 – 65). Wzburzenie opinii publicznej wywołała otoczka procesu frankfurckiego, na którą składały się skanda-



...i lalka przed samochodem, wizja Kurta.
Kadr z filmu.

liczne incydenty. Napastliwi obrońcy kwestionowali oskarżenie i atakowali świadków, zmuszonych do konfrontacji z dawnymi oprawcami. W dodatku ludzie ci, w obawie przed znową znową świadków, nie mogli się przed procesem z nikim kontaktować, zostawali więc sami w obcym mieście, zdani na swoje niskie diety wyjazdowe – co było szczególnie dotkliwie dla świadków z krajów komunistycznych.

Do tego dochodziły kwestie psychologiczne – o ile w czasie procesów w drugiej połowie lat czterdziestych oskarżeni Niemcy i Austriacy doprowadzeni z aresztów i więzień faktycznie wyglądali na więźniów, to podczas procesu frankfurckiego w latach sześćdziesiątych sprawa wyglądała inaczej: na ławach zasiadali oskarżeni, którzy osiągnęli życiowy sukces, mieli dobrze płatną pracę, byli modnie ubrani itp. W dodatku proces zakończył się symbolicznymi wyrokami i w efekcie ich późniejszymi umorzeniami. Tym można tłumaczyć obecny w „Bumerangu” wątek butnych Niemców „federalnych”, którzy nie zamierzają odwiedzać muzeum w Oświęcimiu, jak i często przewijający się w różnych postaciach trop oświęcimski. Przy tej okazji jasno pokazano także „dobrych” Niemców z NRD zwiedzających obóz. Otóż w procesie oświęcimskim jednym z oskarżycieli posiłkowych był prawnik, człowiek-instytucja w NRD, profesor Friedrich Karl Kaul, przez publicystów krajów komunistycznych przedstawiany jako jeden z nielicznych prawników dążących do prawdy. Z oczywistych względów, o czym nie wspominają ówczesni publicyści, pełnił też inną rolę, tj. reprezentował obywateli NRD przed sądem w RFN, gdyż wyjazd tychże za zachodnią granicę nie wchodził w grę.

Warto także zatrzymać się przy scenach w kinie. Bohaterowie oglądają francuski film fabularny, którego tłem jest niemiecka okupacja Francji. Dlaczego Francja? Otóż można to interpretować na kilku poziomach. Po pierwsze, w ten sposób łatwo pokazano, że Polska jest tylko jednym z wielu krajów które ucierpiały w wyniku niemieckiej agresji – tak więc polska pamięć

nie jest odosobniona i stanowi element szerszego europejskiego doświadczenia traumatycznego. Po drugie, Francja przez swoje położenie i historię wojen z Niemcami była połączona z Polską naturalną wspólnotą losów i interesów. Nawet w komunistycznej Polsce akcentowano ustabilizowanie granicy z Niemcami jako wspólną, polską i francuską sprawę, a granicę na Odrze i Nysie zestawiano ze sprawą Alzacji i Lotaryngii. Po trzecie, Francja była swoistym outsiderem za żelazną kurtyną. Należała do świata zachodniego, ale była znacznie lepiej przyswajana w krajach komunistycznych ze względu na lewicową francuską inteligencję lub krytyczną postawę wobec Waszyngtonu.

Wydaje się, że film odpowiadał ówczesnym politycznym (a może nawet społeczne) potrzebom i powinien być odczytywany w powiązaniu z pewnymi zjawiskami i procesami mu towarzyszącymi. Niemniej jako samodzielny utwór artystyczny nie przetrwał próby czasu, za co w znacznej części odpowiadają twórcy decydujący się na bardzo silnie sygnały propagandowe, i to z zakresu propagandy białej, bez ukrywania intencji lub ich maskowania poprzez bardziej subtelne formy. Przedstawienie Niemców w tym obrazie, choć uzasadnione historycznie, dzisiaj po prostu razi jednostronnością i ostrą formą przekazu.

¹ W. Czapińska, *Katalog stereotypów*, „Ekran” nr 47/1966, za: *Historia filmu polskiego*, tom V, Warszawa 1985, s. 239

² Ibidem

³ Drugim reżyserem filmu był Janusz Łęski, twórca o bogatym dorobku filmowym.

⁴ Wydarzenie to zostało opisane w zbiorze dotyczącym azjatyckiej części ZSRR pt. „Kirgiz schodzi z konia”. Ciekawe, że w książce poświęconej komunistycznemu imperium ani razu nie pada słowo „Związek Radziecki”, a za to podkreśla się odrębną historię azjatyckiej jego części, przez co nie doczekała się rosyjskiego przekładu i była chłodno przyjęta za wschodnią granicą.

⁵ Niestety, słuchowiska nie udało się odnaleźć w Archiwum Polskiego Radia, ani w formie zapisu dźwiękowego ani w formie transkrypcji. Korespondencja z archiwum z dnia 19 stycznia 2009 r.

W poprzednich numerach "Siedliska":



NUMER 2

ks. dr Sławomir H. Zaręba, *Religijny wizerunek mieszkańców północno – zachodniej Polski*
Stanisław Kowalski, *Zabytki słuszne i niesłuszne. Ze wspomnień konserwatora*
Marcin Tujdowski, *Łużyckie nazwy miejscowe w zachodniej Polsce*
Zbigniew Mazur, *O degermanizacji Dolnego Śląska (1948)*
Stefan Dyroff, *Kamienna alejka w Nietoperku koło Międzyrzecza*
A. Olejniczak, A. Bober, Zb. Mazur, *Michaił Iłłarionowicz Kutuzow w Bolesławcu*



NUMER 3

Marcin Tujdowski, *Piastowie kontratakują...*
Dariusz A. Rymar, *Koniec „niesłusznego zabytku” w Gorzowie*
Zbigniew Mazur, *Igraszki z poniemieckim dziedzictwem*
Marek Nowacki, *Eberhard Hilscher – honorowy obywatel Świebodzina*
Janusz Jasiński, *General z Olsztyna usiłuje wybielić Wehrmacht*
Dawid Gonciarz, *Kresowiaci w Słupsku*
Jan Muszyński, *Z pamiętnika mojej mamy*
Wacław Nycz, *W sprawie Nietoperka. List do „Siedliska”*



NUMER 4

Bogusław Rogalski, *Niemieckie roszczenia na Warmii i Mazurach*
Marcin Tujdowski, *Krajobraz po bazach*
Zbigniew Mazur, *Ku czci armii sowieckiej*
Rafał Żytyniec, *Pomniki polityczne „czerwonego Berlina”*
Stanisław Kowalski, *Odbudowa gotyckiego kościoła w Żarach*
Mirosław Pecuch, Monika Wilk, *Cerkwie na Ziemiach Zachodnich i Północnych*
Paweł Banaś, *Jerzy Mańkowski i jego pocztówki*
Janusz Jasiński, *Wokół książki Ulricha Focha*
Jan Muszyński, *Bez Niego byłibyśmy bardziej samotni (szkic o Klemie Felchnerowskim)*



NUMER 5

Cezary Trosiak, *O tożsamości regionalnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych*
Paweł Banaś, *Instytutu Zachodniego „pocztówki artystyczne”*
Jerzy Sikorski, *Wspólne dziedzictwo*
Janusz Jasiński, Andrzej Kopiczko, *W obronie wypieranej tradycji rodzimej*
Jan Chłosta, *Prawda o plebiscytach na Warmii, Mazurach i Powiślu*
Izabela Lewandowska, *Tajemnicza figura z Pajtuńskiego Młyna*
Marceli Tureczek, *Leśny pomnik w Brójach*
Zbigniew Mazur, *„Pomniki wojowników” na Ziemiach Zachodnich i Północnych*
Marcin Tujdowski, *Ostrożnie z historią*
Aleksandra Trzcieleńska - Polus, *W Bundestagu o pomnikach na Opolszczyźnie*
Andrzej Sakson, *Zamek w Królewcu*

Kościół w Jonkowie,
w tutejszym probostwie Napoleon
raczył spożyć obiad.
Fot. E. Kitzmann, 1949,
zbiory Instytutu Zachodniego.



Lidzbark Warmiński, widok z wieży kościoła
na stare miasto i zamek biskupów warmińskich.
Fot. E. Kitzmann, 1949,
zbiory Instytutu Zachodniego.





Rzadko spotykane powojenne zdjęcie pomnika bitwy pod Tannenbergiem (Reichsherenmal Tannenberg).
Fot. E. Kitzmann, 1949, zbiory Instytutu Zachodniego.



Pomnik bitwy pod Tannenbergiem (Reichsherenmal Tannenberg), dziedziniec.
Fot. J. Wallas, 1948, zbiory Instytutu Zachodniego.